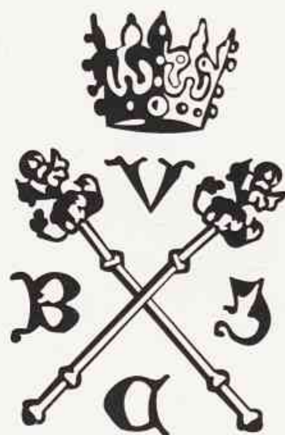

BIBLIOTHECA
UNIV. JAGELL.
CRACOVIENSIS



BIBLJOTEKA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO TOM XL

JÓZEF WEYSSENHOFF

PISMA

TOM SIÓDMY

Syn Marnotrawny

JÓZEF WEYSSENHOFF

SYN MARNOTRAWNY

TOM IV

WYDAWNICTWO TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
WARSZAWA, UL. ZGODA 12.



Druk. J. Rajskiego. Warszawa, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej).

XXXV.

We trzy dni później Jerzy Dubieński opuścił Rivierę. Nie przepadł wprawdzie bez wieści: listem zrozpaczonym oznajmiał pani Annie, że chwycił się ostatecznych środków dla przekonania swej rodziny. Bez tej sankcji nie ma prawa narażać osoby ukochanej na niepewną przyszłość. Jedzie więc do Rzymu, do Ojca Melchiora, licząc na pomoc tego krewnego i świątobliwego kapłana. Ojciec Melchior może wstawi się listownie do pana Macieja, a także uspokoi sumienie Jerzego, zatrwożone tak bardzo, że nawet kiełkuje w nim zamiar wstąpienia do zakonu, gdyby rozterka wewnętrzna i familijna nie dała się inaczej ukoić. Tutaj następowała cytata z dzieła Huysmans'a *En route*...

Wiadomości, zawarte w tym liście, nie spadły na panią Annę jak piorun, lecz raczej jak pożądana jasność dzienna po gorączkowej nocy. Jasność ta oblewała ją wprawdzie wstydem, ale zarazem obudziła w niej dumny gniew i postanowienie.

Poprosiła natychmiast do siebie Fabiusza.

Gdy Oleski przeczytał list, spojrzał ze zgrozą w oczy Anny, ale napotkał oczy jej suche, pałają-

ce i pełne już tego przekonania, którego on nabrał oddawna. Mierzyli się tak przez chwilę wzrokiem, bez słów, równi między sobą oburzeniem i pogardą. Tylko te ciemne błyski, skierowane pozornie ku sobie, stosowały się do kogo innego: do człowieka, który im obojgu zabrał i zmarnował szczęście.

— Mam do ciebie ostatnią prośbę, Fabiuszu: odeślij temu panu pierścionek i zażądaj mojego.

— Dobrze.

— A teraz, Fabiuszu, przebacz mi...

Wyciągnęła do niego ramiona sztywne, bez słodyczy, poważnie patrząc mu w oczy. Fabiusz zaś brwi podniósł i zapytał z pewną wyniosłością:

— Co mam przebaczyć?

— Żem zapomniała o twem dobrem i szlachetnem przywiązaniu, któreby mogło przecie zmienić się w gorętsze uczucie... nie prawdaż?

— Zmienić się?!... — powtórzył Oleski, ramionami i głową wyrażając wyrzut tak bolesny, że pani Annie twarz zadrgała rozpaczliwym żalem.

— Więc jeszcze gorzej, bom mogła liczyć na wszystko w tobie, a poszłam myślą gdzie indziej.

— Miałaś prawo.

— Miałabym, gdyby wybierać mi wypadło między twojem uczuciem a innem równem... Alem ja wiedziała, że tamten kocha inaczej... i podlej.

— Oskarżasz się, Anno, boś bardzo podniecona. Nie mogłaś wiedzieć.

— Mogłam... wiedziałam. Czułam, że to nikczemnik!

Nerwowa jej energja złamała się nagle. Z rozdzierającym płaczem upadła Anna do kolan Fabiusza.

Podniósł ją silnie i posadził na krześle; sam przypadł do jej kolan:

— Uspokój się, Anno! uspokój się, na miłość Boską! Pomówmy... wszak ja żyję... wszak jam ci całem sercem oddany!

— Nie, nie! ja nie chcę! ja nie mogę! jam już ciebie niegodna!

— Poczekajmy — jeszcze kochasz tamtego — poczekajmy, Anno!

— Nienawidzę go!

— A zatem?

— Fabiuszu! Ja ci tego nie wyznam! ja tego nie wymówię!...

— Co?!... więc doszło do...?

Oleski powstał tak sprężyście, że odepchnął Annę, aż się zachwiała. Opuściła głowę, ręką drżącą broniąc się, jakby od blasku, lub od przewidywanego razu; potem zaczęła uporczywie, zajadle potakiwać:

— Tak, tak... doszło do tego... tak, tak...

Fabiusz załamał ręce:

— Mój Boże! wszelka piękność... wszelka wiara...

. . . .

We dwa tygodnie później Jerzy Dubieński, bawiąc już w Wenecji (gdyż Ojciec Melchior, coraz słabszy, nie chciał się mieszać do niczego),

otrzymał spóźniony i przeadresowany list od Fabiusza Oleskiego następującej treści:

„Mości panie Dubieński!

„Z polecenia i rozkazu pani Anny Oleskiej odsyłam panu zaręczynowy pierścionek i żądam w zamian zwrotu danego przez nią panu. Pani Anna Oleska doszła do przekonania, że zamiary małżeńskie, które między nią a panem powstały, są raczej uwieńczeniem zabawnego sezonu w Nizzy, niż postanowieniem, opartem na wzajemnym szacunku i skłonności. Nadto krewna moja poleciła mi panu donieść, że nie zgodziłaby się nigdy być przyczyną popsucia harmonji, istniejącej między panem a jego rodziną, o którą pan widocznie dba najbardziej. Zasady działania rodziny pańskiej są do pewnego użytku doskonałe, mianowicie do użytku tejże rodziny; prosimy zatem pozostać przy nich. To, co się u państwa nazywa cnotą i obowiązkiem, u zwykłych ludzi zowie się interesem. Jednak to, co pan przeciwstawia zapatrywaniom rodziny w swych buntowniczych przeciwko niej porywach, jest czemś jeszcze dalszem od Dobra i Piękna, — nie poezją w każdym razie. Gdziekolwiek więc pan skieruje swe kroki i zamiary, proszę starannie unikać pani Anny Oleskiej i mnie, który po raz ostatni przemawiam dzisiaj w jej imieniu. Krewna moja powróciła do kraju, aby tam przywdziać ostateczną żałobę i oddać się posłudze bliźnich, jeszcze od niej nieszczęśliwszych; nie zamyśla jednak o wstąpieniu do zakonu, gdyż ma na

celu przyrodzone swe obowiązki, nie zaś poetyczne rozrzewnienia nad samą sobą. Ze względu jednak na swe dobro osobiste, o które człowiek nie jest zdolny pozbyć się całkowicie troski, pani Anna Oleska zakazuje panu przeze mnie pisać do siebie lub szukać spotkania. Nadto żąda i wymaga, aby bolesna sprawa zerwania jej zaręczyn doszła do wiadomości świata w tej formie, że ona, dobrowolnie i po namyśle, odmówiła panu swej ręki. Wreszcie oświadcza, że kwituje pana ze wszelkich zobowiązań, do jakichby pan się względem niej poczuwał, oprócz zwykłych i minimalnych wymagań honoru, których ufa, że pan się nie pozbędzie.

„W tej nadziei i ja żegnam pana, życząc mu zastanawiać się rozważnie w przyszłości nad losem ludzi, przypadkowo od działań pańskich zależnych.

Fabiusz Oleski.

„PS. Adres mój jest na Śląsku... Tam oczekuję przesyłki pierścionka. Odpowiedzi listownej nie spodziewam się".

Po otrzymaniu listu Jerzy wyjechał z Wenecji. Jak w nim jęczała, gdzie go nosiła burza jego przeznaczeń, nie dowiemy się już dokładnie. Chyba odbłyski znajdziemy kiedyś w jego poezjach, jeżeli będą ogłoszone, blade błyskawice dalekiej burzy na lekkich chmurach. Według utartego mniemania, błyskawice takie zwiastują pogodę.

Riviera wyludnia się w lecie, jak scena po przedstawieniu; nikną kosztowne dekoracje, aktoro-

wie rozpierzchają się. W tym roku jednak to zwijanie manatków bardziej niż kiedykolwiek wyglądało na popłoch, przynajmniej w gronie naszych znajomych. Byliśmy świadkami niepysznego odwrotu książąt Kobryńskich i Romualda; wyjazd Jerzego miał niektóre pozory ucieczki; powrót Oleskich, każdego zosobna, równał się powrotowi po ciężkiej, niezupełnie opanowanej chorobie, do smutnego zdrowia. Nawet Słuszka, udzielny pan Riviery, wyjeżdżał w tym roku znużony i zamyślony; zamiast do Paryża, skierował się prosto przez Warszawę do swej posiadłości wiejskiej. Lekarze winniby z wielką ostrożnością zalecać polskim pacjentom kurację na Rivierze, chyba pani Granowskiej, dla której kąpiele słoneczne są warunkiem istnienia, a inne wpływy nie są zdolne dosięgnąć jej stanowiska. Nawet plotki, zwykle przesadne, ostatecznie... gminne, odbijają się od jej wysokich progów. To też pani Granowska obiecuje sobie powrócić z dziećmi do Nizzy. Gdyby pani de Sertonville bawiła tu w przyszłym sezonie, można będzie stosunki z nią trochę oziębić. Zresztą... zobaczymy.

Kwiat międzynarodowego towarzystwa trochę mniej był zadowolony z tegorocznego pobytu, niż zazwyczaj. Nie mówiąc już o pięknej Fernandzie, której należność do wyższych sfer była w tym roku nadto dyskutowana, — przedstawiciel najlepszej Francji, margrabia d'Anjorrant, czuł niesmak po swym pojedynku, z powodu niektórych wieści, rozsiewanych o jego korzystnem przymierzu z Ruben-

sonem... Ale to wszystko da się naprawić... postawą. Przedewszystkiem postawa. Powróci też do Nizzy dlatego, że nigdy nie zmienia swych przyzwyczajeń.

Za d'Anjorrant'em podążą Rubensonowie, państwo de Nielles, lady Cosway. Powróci księżna della Robbia, bo zdołała w tym roku z gry opłacić wszystkie tutaj wydatki i wywieźć kapitalik obrotowy. Powróci Schwind, z zegarową dokładnością, dnia 15 grudnia. Nie zabraknie też na Rivierze koronnej pozłoty w osobie księcia Filipa XIII-go. Jego Królewska Wysokość nigdzie tak dobrze się nie czuje, jak w Nizzy i w Venezueli. A do Venezueli wrócić już nie może!...

Zabłyśnie więc Riviera w przyszłym roku zwykłym blaskiem, nie utraci żadnej ze swych istotnych ozdób.

Tymczasem mieszka tu upał przemożny i niepokojący ludzi, którzy zapóźnili się w tym kraju. Na pustych szosach i ulicach, na bladych ścianach domów leży nieubłagane, białe światło. Pozamykane główne domy i hotele szerzą martwotę po krainie; zaledwie trochę mrowia ożywionego wypełza z kątów na groźne słońce: mężczyźni pod parasolami, nawet konie w słomianych na łbach kapeluszach, podobne do starych Angielek. Nieruchome, natężone i podgniłe leżą w powietrzu wonie, budząc instynktowną obawę chorób zakaźnych. Apetyty i żądze mrą w tej atmosferze, pozostaje jedyna gorączka złota.

Ta jedna może się tu jeszcze żywić, bo dom gry w Montecarlo otwarty nawet podczas największych upałów lata. Czasem liczba grających jest dość znaczna, czasem topnieje do kilkudziesięciu na dzień. W wyludnionym kraju, w pustem i przeważnie zamkniętem mieście, gra tych niedobitków nie jest już wcale zabawą, tylko cyniczną funkcją namiętności, w pocie czoła.

Gracz zrozpaczony wychodzi na puste tarasy Kasyna i patrzy ponuro na martwe, szafirowe morze. Kamienie palą mu stopy, słońce cięży na mózgu, gmachy i ogrody nienawistnie milczą wokoło. Wtedy człowiek ten popada w, obłęd: mniema, że mury te, i ogrody, i morze — to jego serdeczna ojczyzna, z którą rozstać mu się trzeba; że gorączka ta, i łaskotliwa lubość, i szał miniony, a już niedostępny — to życie. I wtedy człowiek ten pożąda śmierci.

XXXVI.

Kto bywał w Chojnogórze i zna poważne wdzięki tej siedziby, zadziwiłby się, znajdując w niej dzisiaj, dość późną nocą, towarzystwo rozbawione, możnaby prawie rzec: lekkomyślne. Jakichś czarów dokonała noc lipcowa, oblewająca wonną świeżością park i taras pałacu. Na tarasie, słabo oświetlonym, trzej mężczyźni rozmawiają głośno przy stole, na którym obok przyrządu do herbaty jest i wino. Góruje głos jeden, już nie-

młody, ale silny i widocznie wymowny, gdyż budzi zadowoloną aprobatę. W parku zaś rozlega się, pomieszany z innemi głosami, wesoły szczebiot francuski, autentycznie francuski i tak melodyjnie ujmujący, że każdy pobiegłby w tamtą stronę z ciekawości, jaka tam bawi się wesoła i śliczna kobieta.

Ktoby pobiegł, nie zawiódłby się: między Romualdem a Terenią postępowała wistocie bardzo zajmująca postać kobieca, zupełnie nowa w Chojnogórze.

— Estello! — mówiła właśnie księżna — jak to miło odnaleźć w dopiero co poznanej osobie tyle fibr sympatycznych, tyle duchowego pokrewieństwa!

— Jednak więzy krwi to mocna spójnia — dodał sentencjonalnie Romuald.

— Jak to powiedziałeś? więzy krwi?... *Oh, ça ne m'étouffe pas!* — zawołała panna Dubieńska — ale jesteście mili ludzie. Romeo! weź mój kapelusz; zasłania mi gwiazdy.

Oddała Romualdowi kapelusz i potrząsnęła żywo lokami, które, modą pierwszego Cesarstwa, spadały z wysokiego uczesania po obu stronach twarzy, czarne jak jej oczy, ruchliwe jak cała zgrabna postać.

— Czy u was są te same gwiazdy? — zapytała, patrząc w niebo.

— Dlaczegóżby nie? — rzekł Romuald. — Jesteśmy na tej samej półkuli co Francja i nie tak znowu od niej daleko.

— A, dziękuję. Jechaliśmy bez końca. Papa to przywykł do wędrówek, ale ja pierwszy raz byłam tak długo w wagonie. A ta droga od kolei! Ale wszystko jedno, kraj bardzo zabawny.

— Kraj rodziny Dubieńskich.

— A prawda, zaczynam go lubić. Kiedy przyjeżdża kuzyn Jerzy?

— Podobno pojutrze — odpowiedział Romuald zimno.

— Już nie pamiętam — włosy ma ciemne?

— Tak.

— A wąsy?

— Także ciemne.

— A oczy takie, jak wy dwoje?

Żywa dziewczyna przy tem zapytaniu mimowolnie pokazała palcami oddalenie oczu, właściwe Dubieńskim.

— Oczy wziął po matce, oczy ma trochę nie nasze — odrzekła księżna z odcieniem dumy, którą Estella wzięła za urazę.

— Jesteś taka ładna! — zawołała, biorąc wpół i całując Terenię. — Pocałujmy się wszyscy! No, Romeo!... — dodała, zbierając loki za ucho i nadstawiając policzek Romualdowi.

Romuald przysunął się blisko do ponętnej twarzy, ale pocałował kuzynkę tylko w rękę.

Tak sprzymierzeni zbliżali się do tarasu, gdzie Tadeusz Dubieński rozprawiał wobec potakującego Macieja i pełnego uszanowania Władzia Kobryńskiego.

Pomimo siwych włosów i brody, twarz dyszała jeszcze młodą siłą, mięśnie jej rysowały się energicznie, a podobieństwo rodzinne było, rzec można, przetłumaczone na obcy język. Tadeusz mówił po francusku, bez namaszczenia, zato z pewnym cynizmem, który cechuje wielkich ludzi, gdy zniżają się do prostoty i swobody. Ujrzawszy córkę wchodzącą na taras, uśmiechnął się do niej z pod brwi, oczyma drapieżnemi i poufałemi, ale opowiadania nie przerwał:

— ...Jak mi więc powiedział, że wojny nie będzie, i że moje kapitały chce zaangażować w Rosji, pomyślałem odrazu: musi być właśnie przeciwnie. Trzeba znać tych Holendrów. Puściłem wszystkie, jakie miałem, walory rosyjskie, a nabyłem inne... To was nie interesuje; słowem, że zamiana przyniosła mi pół miljona.

— Owszem, owszem, stryju, to bardzo zajmujące, jakie stryj nabył walory — pytał rozpłomieniony Władzio.

— Kochany przyjacielu! nabyłem różne; mam i akcje Kasyna w Montecarlo. Graliśmy z sobą tej wiosny.

— Och, tak... bez różnicy. A od tego Holendra kupił stryj jacht, który widzieliśmy pod Nizzą?

— Tak jest. Ten statek ma już swą historję: zbudowany był dla Filipa XIII, ale że ten nie miał go czem zapłacić, przeszedł w ręce owego bankiera z Amsterdamu. Nazywaliśmy go wtenczas „latającym Holendrem“. Kiedy znów bankier się zachwiał, kupiłem jacht od niego i przerobiłem na

swój użytek. Nazywa się teraz „Herb Dąb“. Przekręcają mi tę nazwę: „Erb Dab, Herb Drab“, ale wszystko jedno, niech się nauczą.

— To bardzo pięknie, Tadeuszu — rzekł pan Maciej. — Mamy jednak nadzieję, żeś już zawinął do portu na czas dłuższy, że przywykasz do stałego lądu. Jakże się czujesz w kraju rodzinnym? Serca przynajmniej odnalazłeś niezmienione.

Ze zwykłą powagą, jednak z mniejszym, niż go w rodzinie używał, majestatem, wyciągnął pan Maciej prawicę do stryjecznego brata, a wyrazisty nos drgał mu od wzruszenia. Romuald, Teresa, Kobryński poczuli się też w obowiązku raz jeszcze uściskać stryja, którego ściskali już od kilku godzin, od przyjazdu.

Ale Tadeusz w walce z życiem po obcych krajach, utracił przyrodzony wdzięk Dubieńskich równie w stosowaniu zasad, jak w obejściu. Nabrał szorstkości i szyderczej swady starego żołnierza. Nie lubił się też rozrzewniać. I teraz skorzystał z nowego wylewu uczuć rodzinnych, aby powiedzieć dobranoc towarzystwu. Nie obeszło się bez paru jeszcze gorących oświadczeń, bez paru dowcipów Tereni. Jeden z nich nie udał się. Widząc, jak wszyscy odprowadzali stryja do jego pokoju: ci ze świecami, tamten z jego kapeluszem w ręku, a sam pan Maciej jak go prowadził pod ramię, niby księdza przy procesji, Terenia zawołała:

— Prawdziwy powrót *stryja* marnotrawnego!

Nikt nie odpowiedział ani słowem, ani śmiechem; nawet pan Maciej spojrzał na córkę rozszerzonemi oczyma.

Sen, przychodzący zazwyczaj na zawołanie w Chojnogórze, sen spokojnych sumień, dzisiaj także musiał zaczekać z powodu wyjątkowego zamieszania i święta. O północy nie spała jeszcze panna Paulina, choć dawno już poszła do swego pokoju, bojąc się nocnego chłodu. Czekała na Terenię, która obiecała przyjść na rozmowę z ciotką, na podzielenie się pierwszemi wrażeniami. Jakoż zjawiła się w szlafroku niebieskim, powiewnym, figlarnym, ukrywającym skarby wdzięków i serca, gotowe jednak do wynurzeń.

Ciotka Paulina była gorzej ubrana, a także gorzej usposobiona od Tereni.

— Wytłumaczcież mi, co wy upatrujecie w tej Francuzeczce? — rzuca się, kręci, chichocze... ani wielkich manjer, ani uszanowania dla starszych. Czegoż tam uczą we francuskich klasztorach?

— Ach, bo ciocia zagniewała się za tę „mumję". Ona nie powiedziała tego o cioci, tylko gdy zobaczyła nieznajomą starszą osobę, przyszło jej takie głupie porównanie do głowy, a że to dziecko i bardzo żywe...

— Nie gniewam się, moja Tereniu, za mumję. Stara jestem i mało o to dbam, jak wyglądam. Ale to nie są manjery dla panny Dubieńskiej!... Albo któż tak trzaska fortepianem i nazywa go „muzealnym łomotem"?! Wogóle ten jej śpiew mi się nie

podoba. Siedemnastoletnia panna nie powinna takich rzeczy śpiewać, ani tak... he... he... dyszeć.

Ciotka Paulina spróbowała udać namiętny, gorący głos Estelli, która śpiewała już prawie koncertowo, odziedziczywszy razem z urodą, talent po matce. Terenia roześmiała się:

— Niepodobna, ciociu, mierzyć wszystkich naszą miarą.

— Jednak, kiedy ta panna myśli o wstąpieniu do naszej rodziny, musi być do nas jakoś dobrana.

— Jest przecie córką stryja; nawet podobna do niego.

— Gdzie tam podobna! Zupełnie obca jakaś... Ją zupełnie inaczej wyobrażałam sobie żonę dla Jerzego.

Terenia spoważniała i zaczęła rozwijać przed ciotką swe konsyderacje:

— To dopiero projekt. Zobaczymy, jak się sobie spodobają, a następnie... zobaczymy wiele jeszcze rzeczy. Dotąd papa nie mówił zupełnie otwarcie ze stryjem. Ale zato stryj nie mówi nic takiego, coby było w sprzeczności z tym projektem. Owszem... Wie, ciocia, ile stryj ma majątku?

— No, naprzykład?

— Osiem do dziesięciu miljonów franków!

— Ee, czyż tyle?

— Z pewnością. A jedyną po nim spadkobierczynią jest Estella. To niby wzgląd mniej idealny, jednak poważny. Dlaczegóżby te miljony miały pójść gdzie na bok, do Francji, a nie pozostać w rodzinie? — A przytem „z Dubieńskich Du-

bieńska“ — i to coś warte. Naturalnie, jeżeliby panna była ułomna, albo ze złemi instynktami!... Ale to przecie śliczne dziecko, trochę niesforne, żywe, jednak łatwe do poprowadzenia, gdy się zakocha. A już się kocha w Jerzym, wie ciocia?

— To znają się?

— Prawie nie. Alem zmiarkowała... Zresztą Jerzy jest tak *irrésistible!*

— Przecież Jerzy kocha się w tej wdowie, jest zaręczony.

— To właśnie trudność. Tylko jeżeli przyjeżdża do nas, musiał jakoś to wszystko załatwić. Inaczej tuby się nie pokazał.

— Dziwni, dziwni teraz ludzie!... Bardzo ciekawam przyszłości.

Zaczęły powtarzać w kółko swe wrażenia o stryju, o Estelli, o wypadkach i o projektach, wyciągając wróżby rozmaite: ciotka pesymistyczne, siostrzenica różowe. Kiedy Terenia przewidywała, że wszystko się zagoi, załagodzi, urządzi, panna Paulina odpowiadała wątpliwie, wznosząc ręce:

— Daj Boże! daj Boże!

Powoli jednak wymowa Tereni zaczęła działać na wyobraźnię ciotki, i stara panna z rosnącem zaufaniem jęła się przyglądać ozłoconym obrazom przyszłości:

— Ja nigdzie nie wyjeżdżam. Ty zapewne znasz lepiej świat i ludzi... no, daj Boże.

Gdyby Stwórca Dubieńskich nie przenikał serc, a chciał uważać tylko na słowa modlitwy, nie wiedziałby co ma dać: zadowolenie sumień, czy

pieniądze. Ale Stwórca Dubieńskich wie zapewne, że to jedno i to samo.

Nie spano i w innej części pałacu. Do Romualda, nawpół rozebranego, wszedł szwagier, również w bieli, i usiadł, objawiając chęć do rozmowy.

— Cóż stryj? tęgi?

— Aha.

— Jak się ta bestja trzyma, to zadziwiające! Gada, chodzi jak młody. Gotów się drugi raz ożenić.

— Mój Władziu! poco mówić o strachach po nocy — lepiej mówmy o tem, co jest. Pozwolisz, że ci zwrócę na jedną rzecz uwagę?

— No, co takiego?

— Stryj zgodził się tu przyjechać na wielką i stanowczą radę familijną. Trzeba go ugościć, zachęcić do upodobania kraju, z którego pochodzi, dać mu udział w cieple domowego ogniska, a nie gadać mu ciągle o pieniądzach.

— Któż gada?

— Ty. A to jakie stryj kupił walory? — a ile ten majątek w Normandji ma przestrzeni na nasze morgi? — a taki dom w Paryżu ile przynosi? Zapewne... dobrze to wiedzieć, ale ciągłe dopytywanie się wygląda prawie cynicznie.

Władzio nie obraził się, tylko sposępniał. Po chwili rzekł boleśnie:

— Dobrze to wam, bo w każdym razie zrobicie kapitalny interes, jeżeli który z was ożeni się z Estellą. Ale jaki stąd zysk dla mnie?... to jest dla Tereni i dla naszych biednych dzieci? Posag jest skromny, moje interesy w nieładzie...

Romuald spojrzał na szwagra, jak w kongresie minister wielkiego państwa na przedstawiciela mniejszej potencji, której jednak trzeba dać odczepne, aby nie bróździła:

— Czy sądzisz, że nie myśleliśmy o tobie? Jeżeli wszystkie zamiary dojdą pomyślnie do skutku, posag Tereni będzie zaokrąglony w stosunku do powiększenia naszej ogólnej fortuny. Za wcześnie mówić o szczegółach, ale to wchodziło w rachubę.

— A moje długi osobiste?

— Może i na nie znajdzie się rada. Wszystko zależy od toku spraw, bardzo dla nas ważnych, które się właśnie rozpoczęły. Nie trzeba im przeszkadzać. Ty baw tylko stryja, mów mu dobrze o nas, o pieniądzach bądź łaskaw nie wspominać mu wcale. Radzę ci szczerze, w twoim własnym interesie.

Kobryński, nieco ugłaskany, czuł jednak ciągle palące tortury ciekawości.

— Powiedz mi przynajmniej, który z was zamierza starać się o rękę Estelli? Jerzy dotychczas niby zaręczony z Oleską, a o tobie chodzą wieści, że rozpoczęto kroki co do małżeństwa twego z panną Ewą Kostkówną. Więc cóż będzie? Ja się przecie nie mogę ożenić z Estellą, niestety, to jest... oczywiście.

— Trzeba oczekiwać logicznego rozwoju wypadków. Jeszcześmy prawie nie rozmawiali z naszymi gośćmi, jeszcze nie przyjechał Jerzy, a tybyś już chciał... A podoba ci się Estella?

— Zdaje się! dziewczyna jak złoto — i na złocie siedzi.

— No, — rzekł Romuald po namyśle—panna Ewa jest także godna uwagi. Dadzą jej w posagu majątek ziemski, graniczący prawie z Chojnogórą — ładny majątek. Ona sama także ładna, i wielkie nazwisko, dobre gniazdo...

— Estella przecie jest Dubieńska!

— No taak...

— Może posądzasz, że nie?

— Mój Władziu! miewasz koncepty takie, że uszy więdną. Dość spojrzeć na stryja i Estellę, aby się upewnić, że to jedna krew, a przytem jacy do siebie przywiązani! jak się rozumieją! Stryj przyjechał do nas tylko ze względu na przyszłość córki.

— Nie wątpię, że chciałby ostatecznie uregulować tę pozycję.

— Co uregulować?! jaką pozycję?! Teraz ty, przyjaciel i członek rodziny będziesz rozgłaszał plotki?!

— Nie rozgłaszam; mówimy przecie najpoufniej między braćmi.

— Są rzeczy, o których trzeba zapomnieć absolutnie wobec wyższych celów.

— Jakże się to robi, aby zapomnieć?

— Zapomina się i tyle.

Romuald był naprawdę rozdrażniony, Władzio zaś nie życzył sobie wcale tego skutku rozmowy. Począł więc naprawiać swą nierozwagę i zapewniał, że nie ma żadnych uprzedzeń prawnych co do adoptowania własnych dzieci *per subsequens ma-*

trimonium. Estella jest oczywiście rodzoną córką stryja, ma z nim nawet pewne wspólne cechy fizyczne: tak, coś w nosie... nie, ale jakby coś w uśmiechu...

Romuald nie chciał jednak już słuchać.

— Idźmy spać. Muszę być jutro wypoczęty i gotów na ważne rozmowy. A pamiętaj, com ci mówił.

— Dobrze, dobrze.

Książę Kobryński wracał do siebie przez ciemne pokoje, niezadowolony. Zbyt podrzędną grał rolę w tej rodzinie.

— Jedno mam pamiętać, o drugiem znów zapomnieć... popychają mną, jak swoim. A wszystko dlatego, że oni mają pieniądze, a ja pecha... Głupstwo palnąłeś, Władziu, żeś się ożenił! Żenić się z Dubieńską, to przynajmniej z Estellą... Albo trzeba było urządzić się niezależniej od tyranji ojca, żony, nawet takiego Romualda. Inne powinien byłem zająć tu stanowisko. Ostatecznie Dubieńscy to prosta szlachta; jestem między nimi trochę jak zabłąkany...

Czasem nerwowe podniecenie nocy budzi w naturach nawet biernych rewolucyjne porywy i łudzące poczucie siły. Władzio, postępując z lichtarzem w ręku, rozebrany do bielizny, przez ciemne pokoje, nie nastraszyłby wprawdzie nikogo, gdyż nie był podobny ani do ducha, ani do bohatera. Ale w głębi wzburzonego jestestwa gotowały się ambicje, projekty reform, nawet nieokreślona chęć do pracy. Przypomniał sobie jasno, kim jest, i czuł

się księciem Kobryńskim. Drogę zastąpili mu przodkowie, zapragnął z nimi pomówić...

Poczucie takie siły nocnej jest tem rozkoszniejsze, że działać wypada dopiero jutro, a tymczasem można się przespać.

XXXVII.

Gdyby pan Maciej był pospolitym ojcem, a cała rodzina Dubieńskich pospolitą rodziną, wyszliby wszyscy na spotkanie powracającego Jerzego, i scena klasyczna mogłaby się odbyć, w razie sprzyjającej pogody, przed drzwiami domu. Ale rodzina bardzo daleka była od pospolitości, więc i powrót Jerzego do Chojnogóry odbył się inaczej.

Przyjechał w nocy. Wyraźny był zakaz pana Macieja, aby kto, oprócz służby, oczekiwał na jego przybycie. Gdy przestąpił dawno opuszczone progi, zastał tylko kamerdynera, skromną kolację i przygotowany pokój. Jednak Terenia zdołała ukazać się bratu w korytarzu, dramatycznie tkliwa, w niebieskim szlafroku, z włosem rozwianym.

Rzuciła mu się w objęcia i dobrze została przyjęta nawzajem przez Jerzego, który ze sztywnego pozoru uśpionego „gniazda“ wyprowadzał wątpliwe wróżby.

— Jurek w Chojnogórze! co za radość!

— Jak się masz, kochana Tereniu! Jeszcze nie śpisz?

— Dla ciebie, Jurku. Z radości usnąć nie mogłam.

— Poczciwa jesteś. A dużo osób śpi pod tym gościnnym dachem?

— Stryj Tadeusz, Estella, wszyscy, wszyscy...

— Jakież humory?

— Dotychczas najlepsze.

— Ale przypuszczasz, że od mego przyjazdu będą gorsze?

— To zależy od usposobienia, w którem ty się znajdujesz.

— Ach! ja tyle wycierpiałem przez dwa miesiące, że... no, wesół być nie mogę.

Terenia, choć pełna otuchy, zajrzała bratu przenikliwie w oczy.

— Ale zrezygnowany... prawda? przywrócony nam, przychodzący dzielić nasze życie?

— Ostatecznie, po wielu walkach wewnętrznych, doszedłem do przekonania, że obejść się bez was nie mogę.

— To pięknie i mądrze, Jurku. Wszyscy odtąd będziemy szczęśliwi.

— Pięknie, lub niepięknie. Może mnie kto posądzić, że pod wpływem jakiejś rachuby...

— Nie mów tego, Jurku! Jesteś idealistą. Wszystkie twoje pokusy pochodzą ze szlachetnego idealizmu, który cię jednak często prowadził na manowce. Teraz zdobyłeś się na odwagę, więc wytrwaj. Będziemy zresztą o tem mówili jutro.

— Ach, czy dużo będziemy mówili?... Możeby sam fakt, że przyjechałem, wystarczył?

Jerzy powiedział te słowa głosem dziecka, które się skarży, lub wstydzi. Siostra odczuła to sympatycznie:

— Masz rację; zdaje mi się nawet, że papa będzie wolał... Ja w każdym razie wszystkiemi siłami starać się będę, aby cię jak najmniej nudzono.

— Dziękuję ci, Tereniu, ty to rozumiesz.

— No, dobranoc, mój Jurku.

Rozchodząc się cicho w uśpionym domu, parę razy skinęli jeszcze do siebie głowami, posyłali sobie oczyma uśmiechy, ustami drobne pocałunki, jak para kochanków po schadzce.

Jerzy spędził niespokojnie resztę nocy, wstał i ubrał się bardzo wcześnie, gotując się do nieuniknionego przejścia, do rozmowy z ojcem. Rozmowę tę przewidywał oddawna i ułożył sobie wstęp do niej. Wydobył z kufra przedmiot starannie zawinięty, odwinął i zamigotał do światła złoconą blachą w kształcie małej tarczy. Był to ów ryngraf polski, wykupiony z rąk niewiernych w Monte Carlo. Jerzy kazał go umiejętnie odświeżyć. Tem wyraźniej zatem widniała Matka Boska Częstochowska nad herbem Nałęcz i data odsieczy Wiedeńskiej; na odwrocie Męka Pańska. Ryngraf przeznaczył Jerzy na upominek dla ojca, taki niby mały dowód pamięci, z podróży. Przyszła chwila wręczenia podarku. Ale ponieważ ofiarodawca nie był pewien, jak sam zostanie przyjęty, wolał oddać dary przez posły.

Wpatrzył się długo w wizerunek na ryngrafie, jakby udawał się pod opiekę święconej tarczy; po-

tem zawołał służącego, kazał zanieść ryngraf ojcu i zapytać, kiedy może się z nim widzieć.

Pan Maciej nie spał już i natychmiast polecił prosić Jerzego do gabinetu.

Jerzy spostrzegł zdaleka, przez drzwi otwarte, ojca siedzącego przy stole, z ręką na ryngrafie. Stwierdził zaraz, że się nie zmienił, że ma ten sam szlafrok i że wygląda potężnie. Gdy się zbliżył, stwierdził nadto, że spojrzenie ojca, choć wyraża namiętną ciekawość, jest przedewszystkiem ciężkie do wytrzymania. Przygotowane zdania uwięzły Jerzemu w gardle; przychylił się do ramienia ojcowskiego dość niezgrabnie, potem wyprostował się i stał, milcząc.

Pierwszy do niego Maciej zwrócił Jowiszowe słowo:

— Co znaczy ta blacha?

— Znalazłem ten ryngraf w poniewierce zagranicą i kupiłem z myślą ofiarowania go ojcu.

Pan Maciej oparł ręce o kolana, łokciami skierowanemi na zewnątrz rozszerzył swój majestat, pokiwał nerwowo głową, mlasnął parę razy językiem, aż przemówił:

— Panie Jerzy! chwila jest ważna. Trzeba się dzisiaj pozbyć wszelkich wybiegów, aby się ze mną rozmówić. Nie pomogą tu ani frazesy, ani jakieś podarunki!

Trącił blachę odwrotem ręki, aż zadzwoniła, posuwając się po stole; ale przyszła mu natychmiast rozwaga, że przedmiot jest godzien poszanowania, więc go przygarnął; jednak tonu nie zmienił:

— List twój, który otrzymałem w przeszłym tygodniu, jest bardzo pięknie napisany, jednak nie zawiera żadnych stanowczych odpowiedzi na nasze zapytania.

— Zapytania? — zadziwił się Jerzy — nie dostałem żadnego listu, ani zapytań...

— Jednak zapytania moje znasz, bo są niezmienne. Nazwijmy więc to żądaniami. Jesteś pod pewnym względem dość wyrobiony; zrozumiesz więc, że całe twe życie przyszłe zależy od postanowień, które teraz poweźmiesz. Ja cofać się nie zwykłem. Jeżeli więc jakikolwiek z twych zamiarów stoi w sprzeczności z zasadami rodziny naszej, powiedz mi to odrazu. Już czasu niema do namysłu. Wszyscy jesteśmy tu w komplecie i czekamy na twe zapewnienia. Stryj Tadeusz jest z nami; ja już dziś ręczę za niego. Choć późno, dojrzał. Czekamy.

Jerzy ujął czoło dłonią, tłumiąc jakieś burzliwe myśli, czy skrupuły, czy tylko wspomnienia. Gdy odsłonił oczy, sporzał nareszcie prosto na ojca, starając się wytrzymać jego wzrok zapalony.

— Wzywa mnie ojciec do rozmowy zupełnie szczerej ze względu na ważność chwili. Jestem zupełnie szczery. Rozumiem, dlaczego ojciec potępiał mój sposób życia, choć nie wiem, czy znał go dokładnie. Rozumiem, że chce mnie zmusić do trybu, który sam wypróbował i uznał za dobry. Ale dlaczego ojciec oparł się stanowczo moim zamiarom małżeńskim, zamiarom uczciwym, chrześcijańskim, naturalnym?...

— Poczekaj. Nie unoś się retoryką. Wiesz dobrze, dlaczegom się oparł.

— Może źle zgaduję?

— Dobrze zgadujesz. Ten projekt stoi mniej w sprzeczności z zasadami, niż z interesem rodziny. Ale interes rodziny to nie interes kupiecki; może być raczej porównany do *raison d'etat*. W tym przypadku jest tak ważny, że wkracza w sferę względów moralnych.

— Ha! może ojciec ma słuszność... Ale obowiązki moralne moje względem pani Oleskiej?

— Nie prowadzi się do ołtarza osoby, z którą się miało romans.

— Ależ, ojcze! tego nie było!

— Kłamiesz, mój kochany. Znam cię dobrze i znam się na tem.

— Jednak jakże ojciec może taki zarzut czynić jej i mnie?!

— Było tak, lub równoznacznie. Mam o tem lepsze wiadomości, niż się spodziewasz. Powinieneś zaprzeczać i zaprzeczaj. Ale rozmowa nasza dzisiejsza jest wyjątkowa i, daj Boże, ostatnia o tem. Dzisiaj mówimy sobie całą prawdę.

Jerzy patrzał przez chwilę na ojca rozszerzonemi oczyma: „Jednak to człowiek imponujący...“ Potem twarz zanurzył w dłonie i usiadł gwałtownie na krześle.

Nastała chwila ciszy, w której milczenia ojca i syna rozmawiały z sobą, co jest, według Maeterlinck'a, najskuteczniejszym sposobem porozumienia

się dwóch dusz. Wprawdzie te dwie dusze powiedziały już sobie uprzednio dużo słowami.

Jerzy rozmyślał nad tem, że ojciec ma jednak bardzo wyrobione pojęcia o życiu i o pożytku rodziny; poczuł wyraźnie swój udział w tym pożytku, do którego rady ojca były najkrótszą drogą — może i najlepszą?... Pan Maciej zaś zrozumiał z milczenia syna, że syn jest już nawrócony, że mu tylko ułatwić trzeba dramatyczną chwilę powrotu na łono rodziny. Odezwał się miększym głosem:

— Przyczyniłeś nam dużo boleści.

I urwał. W tem Jerzy powstał, natchniony:

— Ojcze! Boleść, której byłem przyczyną, goniła za mną wszędzie. Odpychałem od siebie ten wyrzut sumienia, bom zapragnął żyć nowemi pomysłami, stworzyć sobie swój świat i swoje drogi. Ale zawsze słyszałem głos twój, ojcze, i w gniewie twym nawet bolała mnie twoja boleść. Dla tego uczucia, dla tej czci i miłości, głęboko tkwiących we mnie, poświęciłem ostatecznie wszystkie inne pragnienia — i przychodzę...

Tu Jerzy zbliżył się do ojcowskiego fotelu, pochylony, gotów do zgięcia kolana. Pan Maciej ujął go za oba ramiona.

— I przychodzę... naprawić... powetować przyszłem życiem...

— Zatem przeszłość nie istnieje dla ciebie? — zapytał ojciec, blisko patrząc w oczy syna.

— Oderwana ode mnie...

— To jest: zaręczyny, pierścionki?... bez możliwego powrotu?

— Poświęcam wszystko, wszystko!

— Słowo honoru?

— Jerzemu drgnęły nieco powieki opuszczone.

— Słowo honoru.

— Ano, tak mi gadaj! — zagrzmiał pan Maciej z głębi piersi i porwał w objęcia korzącego się przed nim syna.

Tylko do ryku lwa można było porównać ten wybuch, w którym dźwięczały triumf i potęga, a jednak i drapieżna czułość lwa-ojca.

Chwilę trwało rozrzewnienie, bez deklamacji. Po chwili pan Maciej powstał, położył rękę na ramieniu Jerzego i rzekł:

— No, mój chłopcze, daj mi się ubrać. Chcę cię jaknajprędzej zobaczyć na twojem miejscu, w naszem gronie.

Wcześniej niż zazwyczaj dążyli dzisiaj mieszkańcy Chojnogóry na zachodnią werendę pałacu, gdzie z powodu ślicznej pogody przygotowano pierwsze śniadanie.

Na wyprzódki zbiegali się wszyscy, aby powitać Jerzego. Jeszcze przed jego zjawieniem się przyszła panna Paulina i, usiadłszy w fotelu, czekała. Wonne wyziewy śniadania mieszały się z zapachami kosodrzewiu i powojów, przychodzącemi z leniwym powiewem, zwiastunem dziennego upału. Dyszkanty ptaków rzucały lekkie melodje staccato na tło równego pomruku maszynki od kawy. Staruszka przejrzała z przyzwyczajenia zastawę stołu: nie brakło ani higjenicznego miodu dla papy, ani paluszków z makiem dla Tereni, ani wędliny

dla Romcia, ani gin'u dla stryja. Były i owoce. Nie mogła tylko rozstrzygnąć wątpliwości, czy Jerzy pija teraz kawę, czy herbatę, i czy lubi jeszcze, jak dawniej, płaskie ciasteczka z migdałowym zakalcem, zwane „chojnogórkami“?...

— Mój Jurku!...

Wszystkie czułe ciekawości streściły się w tym rozrzewnionym wykrzykniku i we łzach się rozpłynęły, gdy Jerzy równym krokiem wszedł na werendę i ucałował ręce ciotki. Nim o czemkolwiek zdołali się rozmówić, zjawili się prawie naraz: stryj Tadeusz, Władysław i Romuald.

— Ależ to sielanka! ależ mnie to odmładza! — zaśmiał się stryj, ściskając dłoń Jerzego. — No, chodź, wypij ojcowskiego gin'u, tegoś jeszcze nie pijał w Chojnogórze.

— Towarzyszu uczt weselszych! — zawołał Kobryński i uściskał szwagra.

Romuald zbliżył się do brata w milczeniu, zawahał się przez chwilę, wreszcie pocałował go symetrycznie w oba policzki, jak się należało.

Wbiegła znowu Terenia, zmierzyła Jerzego oczyma przenikliwej gazeli:

— Już po rozmowie z papą?... no cóż?... Dzięki Bogu!

I rzuciła się w objęcia brata.

W tej chwili zaś ujrzano we drzwiach od salonu ciekawe czarne oczy i napół otwarte usta Estelli. Główka wychylona świeciła już na werendzie, drżąc pobocznemi loczkami, a postać jeszcze

pozostała w cieniu pokoju; widocznie dziewczyna przyszła szybko i zatrzymała się u progu.

Tadeusz rozpromienił się, ujrzawszy córkę. Śliczna była w lekkiej popielatej sukni, przejętej czerwonym paskiem.

— No, chodź tu, frygo! Znasz przecie kuzyna Jerzego?... trzy lata temu, w Paryżu.

Estella weszła układnie, trochę sztywno, co miało oznaczać dobre wychowanie. Przywitała się ze wszystkimi bez zakłopotania, ale i bez uśmiechu. Ucichli jakoś, wszyscy naraz, śledząc każdy ruch wchodzącej; Terenia ujęła nawet lornetkę. Aż żywa dziewczyna, porzucając nagle zapożyczoną powagę, odezwała się naturalnie:

— A, no... co wam się stało? milczycie, jak park ostryg!

Panna Paulina ręce wzniosła do góry i błędnym wzrokiem powiodła po zgromadzeniu. Ale Tadeusz ozwał się pierwszy śmiechem, za nim inni. Zwrócił się do Jerzego:

— Widzisz, mój kochany, to nię jest taka zwykła kuzynka, to szmermel, to jest całe w iskrach... A przytem najpoczciwsze dziecko na świecie.

Przygarnął córkę do siebie, a ta mu spojrzała w oczy potulnie, niemem poruszeniem ust powiedziała coś miłego i z rozhukanego dziecka stała się odrazu ujmującą kobietą.

Jerzy przyglądał się uważnie, jednak bez natarczywości; jednocześnie zaś przestrzegał estetyki swej postaci, wypróbowanej już w sztuce podobania się kobietom.

— Teraz moja kawa! — odezwała się znów Estella pieszczotliwie, głosem niezwykle dźwięcznym, który muzykę podkładał pod najprostsze słowa.

I zasiadła do stołu. Ale trzeba było znowu wstać na powitanie pana Macieja.

Z twarzy patrjarchy odgadli wszyscy zwycięstwo i pokój, a zarazem nakaz, aby przyjazd Jerzego traktować jako fakt wesoły, lecz naturalny. Zadowolenie swe pan Maciej wyrażał tylko przez wzniesioną temperaturę duchową: łaskawość jego była cieplejsza, godność wspanialsza; zakwitł na nowo w atmosferze tego radosnego poranka. Niósł w ręku przywieziony przez Jerzego ryngraf. Oddał najprzód każdemu należne powitanie ze zdwojonym wdziękiem; Tadeusza przytrzymał za ramiona w fotelu słomianym z płaskiemi poduszeczkami, w „fotelu papy“, który stryj bez namysłu zajął. (Pan Maciej miał w całym domu swe uświęcone i nietykalne miejsca).

— Siedź, proszę cię, Tadeuszku; wszystkie miejsca są tu dla ciebie, w domu i w sercach.

Okazał przytem towarzystwu podarek Jerzego, chwaląc przedmiot i zamiar, oceniając rzadkość wypadku, że nasz uświęcony zabytek znalazł się na sprzedaż w krajach tak dalekich.

— Ja tam raz znalazłem u antykwarjusza swoją własną minjaturę, ofiarowaną uprzednio... przyjacielowi. Była wprawdzie oprawna w złote pudełko — oświadczył stryj Tadeusz.

Pan Maciej przechylił głowę na bok i rzekł delikatnie:

— To nie to samo...
— To co innego, stryju!
— Nie, stryju, to nie to samo...
— Jak wam się podoba, moi drodzy... Wyborną dajecie tu kawę.

XXXVIII.

Upłynęło od tych wypadków dziesięć dni czarodziejskich. Dobry jakiś urok padł na Chojnogórę i przemienił usposobienia jej mieszkańców, nastroił do harmonji ich ideały, przeczarował całą atmosferę. Pan Maciej stał się pobłażliwym; pan Tadeusz kochał się we wsi polskiej; dowcip Tereni trochę przycichł; Władzio znalazł dobrą partję w pikietę ze stryjem, który grał nieuważnie i przegrywał. Romuald zbliżył się do Jerzego, zawarł z nim nawet domniemany traktat, zapewniający obu braciom osobne i niesprzeczne udziały w wielkich widokach na przyszłość. Ponieważ zaś i panna Paulina zaczęła stwierdzać zbawienny wpływ Chojnogóry na charakter Estelli, wszyscy byli zadowoleni. Takie niezamącone harmonje między członkami dość licznej rodziny, że są rzadkie i przelotne, dodawać nie potrzeba.

Najtrudniej było określić, jak się czuje w nowem życiu Jerzy. Poeta!... ten zawód jest z natury swej pełen tajemnic. Można było zmiarkować po niektórych słowach, postawach i błyskach twarzy Jerzego, że pije tutaj balsamy, które wkrótce bo-

gatą jego duszę uzdrowią: odbywał kurację balsamów. Często, gdy wieczór złocił niebo, a dzwony gdzieś biły na Anioł Pański, a woda gdzieś szemrała w młyńskich zastawach, a żaby... ale nas to nie doprowadzi do jasnego zrozumienia, co właściwie działo się w duszy Jerzego. On był poetą zupełnie nowego gatunku. Teraz te wszystkie kojące zjawiska przyrody może nie zdołałyby odgoryczyć jego zatrutego serca, gdyby na ich tle nie stanęła nowa i nader zajmująca postać Estelli. Estella miała jedną wadę: była nietylko dozwolonym, ale nawet niejako wskazanym Jerzemu przez rodzinę celem życia i zapałów. Z drugiej zaś strony była tak ponętna sama przez się, że dramat poświęcenia dla niej dawniejszych uczuć i pragnień stawał się łatwym, następnie porywającym, a wreszcie i zupełnie poetycznym.

Estella śpiewa. Fortepian sprowadzono nowy z miasta dla zastąpienia „muzealnego łomotu". Jerzy słucha, patrzy i rozumie, że kobieta, mająca głos tak dźwięczny i gorący, musi mieć i piękną duszę.

— Słuchałbym cię tak całe życie.

— A nie! i ty musisz mi śpiewać, jeżeli już mowa o całem życiu.

Nie pierwszy to raz Jerzy zadawał sobie w duchu pytanie, jakiego tonu ma użyć w rozmowach z piękną kuzynką: czy zalecać się do niej żartobliwie, grać na półsłówkach, na dwuznacznikach, czy też mówić o uczuciach wzniosłych i demonicznych. Z Estellą próbował już trochę obu sposobów, i oba

nie dopisywały mu tak, jak zazwyczaj. Musiał się nawet dobrze pilnować, aby dorównać werwie kuzynki, która każde słowo skierowane do niej odrzucała wprawnie i łatwo, zarówno drobną piłkę żartu, jak wielki balon, napełniony mglistem uczuciem. Czasami nawet balon pękał ku uciesze Estelli, a z mniejszem zadowoleniem Jerzego. Ale te drobne niepowodzenia taktyczne bynajmniej go nie zrażały, owszem budziły w nim coraz szczerszy zapał do podboju.

— Jakaś ty nowa, Stelli! Czy gest, czy słowo, wszystko nowe w tobie. Tyle mam wspomnień, a nigdy nie przywodzisz mi na myśl porównań.

— *Oh! pas de comparaisons! je vous en prie, Yourkou!*

Mieli już nazwy dla siebie udzielne: on jej mówił: „Stelli"; ona w rozmowie, oczywiście francuskiej, nazywała go po polsku: „Jurku".

— Właśnie mówię, że cię nie równam z nikim. A jednak zdaje mi się, że cię znam oddawna; jest coś bliskiego w tobie.

— Związki krwi, jak deklamuje Romuald.

— Coś więcej. Zresztą jam do rodziny nie podobny, ani ty także; więc jeżeli istnieje między nami coś takiego, jest tylko nam obojgu właściwe.

Estella już znowu brząkała akordy na fortepianie, nie chcąc się widocznie zapuszczać w metafizykę związków takich lub owakich. Ale myśl jej, zajęta przedmiotem, dążyła swojemi drogami do wniosków, szybko, po kobiecemu. Zwróciła się żywo do Jerzego:

— Słuchaj, Jurku: gdzie my będziemy mieszkali?

Jerzy uśmiechnął się rozkosznie. Projekt małżeństwa, choć wszystkim wiadomy, choć wiszący, jak zapach w powietrzu, nie był dotychczas przez młodą parę sformułowany. Nagły zwrot Estelli *ad rem* uradował Jerzego, dowodził mu bowiem, że dziewczyna myśli o nim, a nadto, że jego sposoby przypodobania się, choć nie zawsze efektowne, są naogół skuteczne. Odpowiedział skwapliwie:

— Mieszkać będziemy gdzie tylko zechce twój ojciec, a przedewszystkiem ty.

— Naprawdę? Nie w Chojnogórze?

— Nigdy! Ja tu oddawna nie bywam.

— I naprawdę nie jesteś do nich podobny?

— Sama osądź.

Spojrzeli sobie zbliska w oczy. Twarz Estelli powlekła się bladością i wyraziła namiętny pęd do zapalających się szybko w główce zamiarów. Ten pęd odrazu stał się potokiem słów gorących:

— Więc pojedziemy jesienią do Biarritz.

— Z prawdziwą rozkoszą.

— A potem trochę do Paryża, do papy. Potem na Rivierę.

— Jak rozkażesz.

— Albo... pojedziemy odrazu przez Kair do Indyj.

— Oddawna tam się wybieram. Cóż dopiero z tobą, Stelli!

— A nie chciałbyś polować na lwy?

— Jak to? także razem?

— Naturalnie. Ja umiem strzelać.

— Dobrze więc. Tylko... nie powiedzieliśmy sobie jeszcze jakiem prawem we dwoje podróżować będziemy...

— A prawda! — zaśmiała się ponętnie Estella.

Odwróciła się do fortepianu i znów zaczęła śpiewać.

Jerzy siedział bardzo blisko przy niej. Mrok zapadał klasyczny. I stało się, że się melodja urwała, że śmiechy zniżyły się do gorących szeptów, a Estella skłoniła posłuszną głowę na ramię Jerzego.

— Jeszcze, Jurku, jeszcze...

Opiekuńcze duchy Chojnogórskie uśmiechały się do tych zalotów, otaczały je cichem, przychylnem wspólnictwem. Gdy jednak porozumienie się dwojga młodych przybrało charakter zbyt poetyczny, troskliwe duchy zatrzepotały skrzydłami, zlatywały się po dwa, po trzy lub wszystkie razem, na narady. Wkrótce wynikła następująca stanowcza rozmowa.

Stryj Tadeusz znalazł się z Jerzym w parku, w miejscu ocienionem i zacisznem.

— No, Jerzy, nic mi jakoś nie mówiłeś dotychczas o swych sprawach sercowych.

Jerzy oczyma i ustami wykonał taką jakąś gamę zadziwień, tłumionych boleści, uśmiechów do słońca, że nawet stryj, znawca serc ludzkich i rodzinnych, nic nie zrozumiał.

— Cóż? nie chcesz ze mną gadać? Powinienbyś wiedzieć, że my dwaj możemy z sobą rozma-

wiać swobodnie. Jam dużo przeżył i dużo rozumiem; ty jesteś najzdolniejszy z młodego pokolenia.

— Mam też do stryja nieograniczone zaufanie.

— A więc...

— Więc poszedłem za jego radą, daną mi wówczas na jachcie przed odjazdem z Nizzy.

— Poszedłeś?... hm... Opowiedz mi to trochę bardziej szczegółowo.

— Błąkałem się po świecie... walczyłem z porywami, które po namyśle uznałem za niewczesne i nie do urzeczywistnienia. Ale odkąd przezwyciężyłem swoje uprzedzenia i wszedłem znówu w ten dom, opromieniony teraz jakby nową zorzą, czuję się tak dziwnie... tak mi jakoś młodo i zdrowo na sercu.

Stryj Tadeusz patrzał na Jerzego z uśmiechem przyjaznym; dawał głową i oczyma lekkie znaki potakujące, wesołe, trochę ironiczne. Aż przerwał mu wymowę:

— Mój kochany, przywykłeś rozmawiać z kobietami; nieźle mówisz. Ale ja, widzisz, jestem stary praktyk i wiem, że o rzeczach prostych najlepiej mówić poprostu.

— Słucham stryja — rzekł Jerzy ceremonjalnie.

— Nie potrzebujesz przystępować do mnie jak do ołtarza, ani jak do sędziego, ani jak do ojca. Jestem poprostu twym przyjacielem i mam ci do przedstawienia układ, który nas obu żywo obchodzi. Ale nim się porozumiemy, pozwolisz, że ci postawię kilka zapytań. Najprzód: jak zakończyłeś swe obrachunki z wdową?

— Ona sama zerwała.

— Tem lepiej. A nie starałeś się odtąd o nawiązanie z nią stosunków.

— Nie mogłem nawet. Rozstaliśmy się ostatecznie.

Stryj wpatrzył się przez chwilę w Jerzego i doznał zadowolenia z przeglądu jego twarzy. Nabrał humoru.

— No, a cóżeś począł z całym twym serajem? Piękna Fernanda dużo cię kosztowała?

— Nic wcale, stryju. Przegrała mi kilka tysięcy franków w ruletę, to wszystko.

— E?... Zawsze tam jakieś upominki, kwiaty?...

— Tak, trochę kwiatów.

— Toś ćwik, mój chłopcze. A pani de Nielles?

— Pani de Nielles?!

— Mówiono mi, żeś i ją sprowadzał do jakiejś kryjówki w Monte Carlo.

— Ani mi się śniło. Najprzód, nieładna.

— Owszem, ładna kobietka z rodzaju nerwowych, z odmiany tych, które stworzone są na brunetki, a wykończone na blondynki... Więc nie? A tamta dawna... jak-że się nazywała?... Karolina, zdaje się?

Jerzy zmarszczył się i oczy przymrużył, jakby się wpatrzył w coś bardzo oddalonego. Potem niby westchnął, niby coś przełknął i pokiwał głową z rezygnacją. Tadeusz rzekł szorstko i poufale:

— Ej, przyznaj się, że nie wiesz, co się z nią stało.

Po krótkim namyśle Jerzy zaśmiał się serdecznie.

— Ze stryjem to warto gadać!

— A widzisz. Teraz jednak posłyszysz trochę morałów — o! nie z tych, któremi cię tutaj karmią od dziecka — morały moje są natury praktycznej.

— Wszystko, co stryj mówi i radzi, trafia mi do przekonania.

— A zatem — czas, mój chłopcze, abyś swój sposób życia uregulował, pomyślał o pożytku, nietylko o przyjemności. Czas się żenić.

Jerzy doznał olśnienia. Rada niezależnego od rodziny stryja była identyczna z zasadniczemi pomysłami reszty rodziny, dogadzała przytem wszystkim na teraz pragnieniom Jerzego. Różne i sprzeczne dotychczas aspiracje rozmaitych Dubieńskich kojarzyły się w jednym płomieniu. Wynikała stąd wzniosła synteza, cudowny akord.

— Żenić się mógłbym z jedną tylko osobą, stryju. Żałuję, żem jej nie spotkał wcześniej, przed opłakanemi zboczeniami ostatnich czasów. Dla tej jednej mógłbym poświęcić nietylko wszystkie przyzwyczajenia i wspomnienia, lecz i całe życie.

— Wiesz, Jerzy, — rzekł Tadeusz z błyskiem w oczach tak głębokim, że aż stawał się ponurym — wiesz, że w bardzo ważnych chwilach życia trzeba być zupełnie uczciwym. Mówisz więc teraz bezwarunkową prawdę — co?

— Stanowczo tak.

— No, to żeń się z Estellą... Bez rozrzewnienia!... Nie lubię tego waszego sposobu całowania po rękach... O tak! uściskajmy się i dosyć. Mam ci jeszcze trochę do powiedzenia.

Umilkł na chwilę i opanował mimowolne wzruszenie. Odezwał się potem, siadając na ławce i pociągając za sobą Jerzego:

— Nie wymyśliliśmy nic nowego, bo wiesz zapewne, że projekt istnieje od wczesnej wiosny. Prosił o to Maciej w swych listach; ja już dawniej o tem myślałem. Układ taki jest wskazany przez wszystkie nasze wspólne interesy. Więc projekt dojrzał tylko. Porozumiewać się obecnie o posagu, o spadku po mnie — byłoby niesmacznie. Nie doznasz tu zawodów, mój panie... zięciu. Muszę jednak cię uprzedzić, że ta dziewczyna jest mojem prawdziwem bogactwem, o które dbam więcej, niż o cały majątek.

— Któżby tego nie rozumiał, kochany stryju!

— Wystrzegałem się wogóle gorących przywiązań, ale Estella stanowi wyjątek: jest całem szczęściem mego późnego wieku. Dbam więc o to bardzo, aby była szczęśliwa.

— Wszystkie starania, stryju, jakie są w mojej mocy...

— Kochany Jerzy! zapewnienia na daleką przyszłość są wogóle kruche. Ale ludzie rozumni dobrze obliczają przyszłość i wnioskują o niej trafnie. Więc zabierając się do jakiegoś zawodu, czy nowego życia, można się obliczyć. Naprzykład trzeba będzie trzymać się Estelli bardzo wyłącznie. To

kobieta dumna i burzliwa — urwać się może łatwo z rozluźnionego łańcucha. A pragnę dla niej spokojnego życia... No — i tobie nie byłoby przyjemne...

— Zdaje mi się, stryju, że nic nie stanie na zawadzie najściślejszemu między nami porozumieniu.

— Mam nadzieję. Zastrzegam jeszcze jedno: pragnę widywać córkę często.

— I ona mówi zawsze o tem. Ja zaś serdecznie chcę tego samego.

— Jeżeli zamieszkacie w Paryżu, renta posagowa będzie zdwojona.

— Nie potrzeba mi, stryju, tej przynęty.

— Nie zaszkodzi.

Z wyżyn moralnych rozmowa coraz bardziej spadała do matematyki i nauk ścisłych.

XXXIX.

Zbiory z pól w Chojnogórze dokonane. Nigdy tylu stert nie postawiono na bujnych ścierniskach, po których pasą się tysiące owiec, plamiąc płowe przestrzenie tłusto falującemi kupami dobytku. Łąki zazieleniły się bogatym potrawem między gęstemi stogami siana z pierwszego zbioru. Przezorni ekonomowie już krają gdzie niegdzie ściernie dwuskibowemi pługami, przygotowując ziemię do przyszłych plonów. Niby błogosławione trzody Labana, Jakóba... niby pożyteczne piękności georgik Wirgiljusza...

Ścieżyną między polami powraca z przechadzki towarzystwo pałacowe. Idzie ordynkiem, według najzdrowszych zasad.

Przodem kroczą dwaj patrjarchowie: Maciej i Tadeusz. Nie mają sobie już nic prawie do powiedzenia: dokonali głównych zadań żywota i trawią rozkosznie swe zadowolenie. Jerzy zaręczony z Estellą, Romuald z Ewą Kostkówną. Sprawa ordynacji na najlepszej drodze: cała Chojnogóra i kapitały pana Macieja staną się udziałem starszej linji Dubieńskich, od Macieja i Romualda idącej, da Bóg, w setne pokolenia. Młodsza linja Tadeusza zaczerpnie swe soki w fortunie tego ostatniego, przechodzącej niepodzielnie na Jerzego i Estellę, rozwinie się zagranicą i powróci, da Bóg, do rodzinnego kraju. Wszystkie te idealne urządzenia przeszły już ze sfery pobożnych życzeń w dziedzinę faktów, są obwarowane należytemi aktami i pieczęciami. Triumf zatem na obliczach dwóch protoplastów nie jest ulotnem oświetleniem, lecz trwałą aureolą w rodzaju glorji, wieńczącej głowy wybranych Pańskich.

Ponieważ dróżka polna jest wąska i wydeptana w brózdy, reszta towarzystwa postępuje parami, i małżeństwo Kobryńskich zmuszone jest deptać też w parze; Terenia, bardziej Dubieńska, odczuwa ogólny błogi nastrój; Władzio, nie dorosły do ideałów, doznaje jednak zadowolenia z niektórych ułatwień, które mu poczyniono.

— Cudownie w tym roku w Chojnogórze! — mówi Terenia do męża: — aż żal, że tylko jeden

rok taki być może. Czy kiedy w przyszłości zbierzemy się tutaj w tej pogodzie ducha i ziemi?

— Jeżeli dotrzymają obietnic — rzekł cicho Władzio — i wszystko popłacą, będzie nam dobrze i gdzie indziej. Tamtych gałganów zagranicznych uregulowali, ale jest tutaj kilku pilnych... Poczekaj... 8.000 rubli żydowi z Siedlec. Ten najgorszy. 3.000 temu drugiemu...

— Wstydź się, Władziu, mówić ciągle o pieniądzach!

— Wam to łatwo kobietom: dostajecie wszystko gotowe. Ale my musimy ciężko pracować, przynajmniej głową.

— Dziecko z ciebie, mój Władziu.

— Dziecko, czy nie, miałem rok fatalny.

— Nic mi nie mów złego o tym roku błogosławionym.

— No, ja nie mówię; wszystko się teraz jakoś urządza.

Panna Paulina, jeszcze krzepka, dotrzymywała kroku Romuałdowi w trzeciej parze. Była zachwycona panną Ewą Kostkówną, narzeczoną Romualda.

— Bierzesz prawdziwą perłę, Romciu: cicha, spokojna, bardzo dużo wdzięku, tego dobrego wdzięku, który rzadko już się widuje. Podobna do swej babki; sławna była piękna jej babka, Koniecpolska.

Czy panna Ewa przypominała babkę, trudno było już stwierdzić, ale choć zaledwie minęła dwudziesty rok i rysy miała regularne, było coś zwiędłego w jej postaci, we włosach rudo-płowych

i w twarzy białej, zlekka piegowatej. Zato dystynkcja nie pozostawiała nic do życzenia.

— Żeby ciocia wiedziała, jak Ewunia umie się znaleźć w każdym przypadku! Kazała mi do siebie pisywać na ręce swej matki, której także swoje odpowiedzi pokazuje. To hamuje trochę... ale jak wysoko ją stawia w mej opinji!

— Tak, Romciu, będziesz miał idealną żonę.

— Chciałem właśnie powiedzieć, że na żony należy inne brać kobiety, niż... naprzykład wszystkie te kobiety Jerzego. To błyskotliwe, upajające, ale, zamiast pomocy w życiu, tylko troska i niebezpieczeństwo.

Panna Paulina nie mogła być innego zdania; jednak wtrąciła niepewnie:

— Masz zupełną słuszność, ale znowu Jerzy... Są ludzie na świecie, którzy koniecznie potrzebują rozkoszy.

— Któż jej nie potrzebuje, ciociu? Ale trzeba ją umieć znaleźć w zupełnym spokoju sumienia i zgodzie z zasadami.

— Święta prawda, Romciu. Ty rzeczywiście stworzony jesteś na głowę naszej rodziny.

— Czuję w sobie to powołanie, i Ewa to rozumie.

Ścieżka dochodziła do młyńskiego stawu i szła dalej groblą, której stok od strony wody ogarnęła gęsta leszczyna. Wybujałe gałęzie głaskały pochlebnie po ubraniu przechodzące pałacowe towarzystwo. Gdy doszli do młyna, wesoły szum wody i trajkotanie żaren zajęło wszystkich i zatrzymało.

Ktoś też zaproponował, aby poczekać na Jerzego i Estellę, którzy szli w ostatniej parze i nie wynurzyli się jeszcze z zakrętu drogi, ocienionego leszczyną. Tymczasem paru młynarczyków, ubielonych mąką, zbliżyło się w celu ucałowania rąk władców tych włości i dostatków. Wykonali to delikatnie i ostrożnie, ze względu na sypiącą się z ich ubrań i twarzy mąkę.

— Niech będzie pochwalony!

— Trzeba zawsze dodawać: Jezus Chrystus. Koniecznie trzeba dodawać — rzekł poważnie pan Maciej.

A Estella z Jerzym, opóźnieni na zielonym końcu pochodu, idą weselnie w ozłoceniu słonecznem. Ona zebrała całe snopy kwiatów polnych i łąkowych, on jej pomaga nieść je do domu. Postać jej, trochę obca wsi polskiej, stylizuje krajobraz, dając mu pozory tej scenki z początku XIX wieku, w której dziewczę wysoko uczesane, w wielkim nakształt wydętego żagla kapeluszu, w sukni z krótkim stanem, słucha czułych wyznań ułana, jadącego na wojnę. Jerzy nieźle udaje rycerza, tylko zamiast jechać na jakąkolwiek wojnę, właśnie powrócił. Oboje czują się źródłem i środkiem tego szczęścia, które promienieje, tego bogactwa, które się dokoła roztacza. A przytem, mają najmilsze między sobą sprawy.

— Gdym cię pierwszy raz zobaczył w Paryżu, Stelli, miałem nagłe przeczucie tej bezwzględnej sympatji, która jest podstawą wielkich i trwałych uczuć. Byłaś zupełnie dzieckiem, jednak już takiem,

że można było odgadnąć ten dzisiejszy kwiat, tę gwiazdkę.

— A ja nie pamiętam dobrze twojej wizyty. Przyjechałam z klasztoru na wakacje i dostałam... poczekaj... broszkę ze szmaragdem. Czy to było wtedy?

— Tego nie wiem.

— A teraz w Chojnogórze, chcesz wiedzieć, co mi się w tobie odrazu podobało?

— O, powiedz, Stelli, powiedz!

— Sposób noszenia surduta. Nosisz go, jak d'Anjorrant.

Jerzy stwierdził bystrość oka swej narzeczonej, gdyż naśladował sposób ubierania się margrabiego, ale oświadczenie niezupełnie go zadowoliło.

— To są drobnostki, Stelli. Pragnąłbym cię zająć bardziej moją... istotą wewnętrzną.

— To na później.

Chociaż ten ułamek rozmowy nie był sam przez się poetyczny, mnóstwo było poezji dokoła: na polach złotych, na łąkach zielonych i w sercach obojga młodych. Słowa bowiem są czasem nieodpowiednie do nastroju, czasem znowu bywają zdradliwe, jak dzieci źle wychowane, i wyrywają się niepotrzebnie.

Znowu górowała w rozmowie nuta podniosła:

— A jeżeli będziemy zimowali w Paryżu, musimy koniecznie mieć swoją lożę w operze. Ty nie możesz żyć bez muzyki, Stelli. Będziemy też urządzali posłuchania muzyczne u siebie.

— Tak, tak, Jurku.

— Dużo artystów, pisarzów... Zapraszać będziemy i Polaków paryskich. Trzeba coś robić dla kraju.

— Jak chcesz, Jurku.

— Ty się przecie także poczuwasz, Stelli, do narodowości swego ojca. Ja, cokolwiek mam zamiar przedsięwziąć w przyszłości, opierać się będę zawsze na zasadach narodowych i chrześcijańskich.

Estella spojrzała z pod oka na Jerzego.

— Mówisz, jak twój stary.

— No... on ma często słuszność.

Do rozmawiających narzeczonych dolatywał coraz wyraźniej turkot młyna i ożywiał ciszę polną pulsem, bijącym porządnie i pożytecznie. Jerzy zwrócił rozmowę na ten przedmiot:

— Lubię od dzieciństwa nasz młyn. To niby bijące serce naszych włości.

— Serce?! — zaśmiała się Estella: — chyba żołądek?

Jerzego zastanowiła tak bardzo uwaga narzeczonej, że aż się zatrzymał, popatrzył na nią i otworzył usta:

— Wiesz, Stelli, że ty masz talent literacki.

— Gdzie tam! tylko zdrowy rozsądek. Lubię nazywać rzeczy po imieniu.

Jerzy zamilkł i rozważał w sobie, że liczyć mu się wypadnie z przenikliwością przyszłej żony. Ale go to nie trwożyło, bo grzechy jego przeszłości były jawne i estetyczne, a na przyszłość miał same tylko zamiary pogodne. Śliczna kobieta, dużo pieniędzy... reszta dodana mu będzie.

— Stelli moja!

Leszczyna przy stawie młyńskim odgradzała młodą parę od oczu reszty towarzystwa. Wstawały wieczorne wonie krzewów i roślin wodnych, tonących w cichej, zaledwie ruchomej fali; wodę całowały w przelocie jaskółki. I usta narzeczonych połączyła konieczność wynikająca z tej świeżości, z tej ciszy, z tej przemożnej namowy przyrody. Estella nie mówiła nic, tylko Jerzy przerywał pocałunki słowami bez wyboru:

— Najsłodsza moja... dziewczynko... gwiazdko szczęśliwa... Stelli... żono duszy mojej!...

Przy ostatnich wyrazach drgnął i puścił z objęć kibić Estelli, jakby posłyszał jakiś szmer płoszący, który płynął z bardzo daleka, zbliżył się nagle i trącił go. Ona odsunęła się od niego z pewnym niepokojem:

— Dlaczego zadrżałeś?

Jerzy miał przez chwilę oczy dziwne, uciekające do wspomnień, ale je zwrócił natychmiast miłośnie do kobiety, która stała przy nim i była ostatecznym celem jego nawróconego życia. Tę pocałował raz jeszcze, poczem przywołał pierwszy do porządku rozigrane uczucia:

— Czas nam do ojców naszych.

Ojcowie stali jeszcze przy młynie z resztą towarzystwa. Gdy doczekali się narzeczonych, ruszyli w dalszy pochód, tym samym parzystym orszakiem: na czele dwaj patrjarchowie, dalej małżeństwo Kobryńskich, Romuald z ciotką Pauliną, Jerzy z Estellą. Orszak wyginał się po skrętach i falach

wąskiej ścieżki, a nawet gdy wszedł na wielką drogę, sadzoną drzewami, pozostał w tym samym układzie. Wywoływał niskie ukłony napotkanych kmieci, niby jakaś ciągnąca procesja. Ozdabiał rytmicznie krajobraz, i tylko barwnych strojów staroświeckich brakowało mu do pozoru klasycznego poloneza. „Patrzcie, patrzcie, młodzi...“

Zapadli w milczenie, dochodząc do pałacu, który wydawał się większym i wytworniejszym w złagodzonem świetle wieczornem.

Gdy doszli do drzwi głównych, stanęli i odwrócili się wszyscy do wspaniałego widoku na rzekę, drogę i pola, który między kunsztownemi sadzeniami parku uciekał w dal perspektywą coraz bardziej rozwartą. Słońce, zbliżając się do horyzontu, nurzało się w opalowym pyle, który podnosiły stada wracające na nocleg. Na wierzchołkach drzew słońce wyróżniało najbardziej złote kępy liści, zwiastujące zbliżanie się jesieni. Pełno było złota na dalekich rozległych ścierniskach i blisko, na iskrzącej się bogato blasze pałacowego dachu.

Ciągnące stada wyglądały syte, zadowolone z dnia i łakome rozkosznego spoczynku. I oblicza panów tej ziemi, ozłocone zorzą zachodnią, dyszały zadowoleniem sumień i apetytów.

Pod złotem słońcem, myśli ich, i humory, i kraj cały, i niebo — były złote.

KONIEC.



Za błękitami

Dr. K. M. Górskiemu.

I.

Ogród spacerowy w Bernatowicach słynie z piękności drzew i z estetycznego ich układu. Założony został w początku stulecia, wówczas, kiedy księżna Izabella Czartoryska pisała swe „Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów“, rozpoczynając od cytaty z Pope'a. Wielkie samotne dęby, niespodziewany rozkład klombów, umiejętne połączenie odcieni zieloności, ruina „upoważniona dębem starym“, grupy drzew „przyzwoite na osłonienie monumentu lub pamiątki“ — przypominają dzisiaj, po dziewięćdziesięciu latach, powabne myśli księżnej. I, choć kilka zaledwie olbrzymów pamięta może rozumny uśmiech tej pani, choć może niejeden „sadzący“ skrzywił lub przerobił plan pierwotny, w postarzałych koronach wieje dotąd imię kobiety, której impuls cywilizacyjny czujemy jeszcze dzisiaj przy schyłku wieku. „Księżna kuma“ niechętnie doradzała sadzenie drzew zagranicznych,

chwaląc stylem swym wdzięcznym i tkliwym piękności drzew polskich. Dodawała jednak, że gdyby kto chciał, „wolno mu będzie“ sprowadzać gatunki z zagranicy. Z tego pozwolenia skorzystał widocznie pan podkomorzy Okszyc, pradziad obecnego właściciela Bernatowic. W założonym przez niego parku, obok wielkiego bogactwa drzew krajowych, są i okazy rzadkie zamorskie. Każdy, kto tu przyjeżdża, musi obowiązkowo obejrzeć tulipanowiec, salisburję i mimozy. W pobliżu dużego, półpiętrowego dworu z frontonem greckim, noszącym datę 1808 i dewizę łacińską, wznosi się też ładna oranżerja.

Jest lipiec. Kończy się upalny dzień.

Pan Stanisław Okszyc siedzi sam na tarasie od strony ogrodu i trzyma w ręku książkę. Na ławce obok niego rozrzucony stos fotografij ze starożytnych rzeźb i budowli. Okszyc nie czyta, utkwił oczy w jedną grupę drzew, gdzie brzoza świeżą zielenią odcina się od ciemniejszych dębów i świerków. Słońce leży już tylko na wierzchnich gałęziach, pozostawiając niższe w błękitnawym cieniu, a podszycie klombów prawie w mroku. Na niebie bardzo dalekiem wierzchołki wzorują się nadzwyczaj czysto: możnaby policzyć szpilki na wyniosłych czubach modrzewi. Ponad rzeczką i bliżej, nad murawą, komary tańczą szalenie, plamiąc powietrze siateczką szarą — i nie większe od komarów jaskółki szybują pod niebem. To na pogodę.

Płyną zapachy kwitnących akacyj i woń ziemi spoconej, już trochę sennej. Monotonny przyśpie-

wek komarów przerwie czasem ostre bzyknięcie, jak dźwięk zerwanej struny: to jeden z tancerzy odłączył się od kolumny i zapragnął krwi pana Stanisława. Okszyc wtedy macha niecierpliwie ręką, albo puszcza kłąb dymu z papierosa. Nie można czytać na tym tarasie, a jednak szkoda wracać do domu.

Zahuczy czasem spóźniony trzmiel, powracając z łupem do gniazda; woda szumi w zastawie; z pól dolatują pomieszane głosy ludzi i bydła — pogodne.

Okszyc odłożył okulary i przetarł zmęczone oczy. Jego twarz, młoda jeszcze, nie ma rumieńców; długi, cienki nos o nadmiernie wykrojonych nozdrzach porusza się nerwowem skrzywieniem. Ubranie wisi jakoś na panu Stanisławie. Nie dobrze wygląda w tym roku, chociaż powraca z podróży na Wschód, która miała mu posłużyć.

Jest to oryginał i marzyciel. Zamożny, bardzo wykształcony, poważany ogólnie, nie żeni się jednak do 35 roku życia i nie bierze się do żadnej produkcyjnej pracy. Rządzi trochę majątkiem, bardzo mało, czyta za dużo i to o rzeczach najniepotrzebniejszych: o sztuce i archeologji. Brak mu, widać, ambicji.

Taką ma powszechnie opinję Stanisław Okszyc. Opinja ta jest oczywiście napół powierzchowna i napół fałszywa. Zadziwionoby się, gdyby wiedziano, o czem teraz myśli ten uczony bez ambicji.

Myśli, czy usłyszy wilgę. Lubi ten okrzyk rytmiczny ptaka, który wabi swą ukrytą między

liśćmi towarzyszkę klasyczną inwokacją złożoną z trochejów.

A samiczka odpowiada zalotnie w tonie przedłużonego spondeju.

Pan Stanisław myśli prawie poważnie: — Jeżeli dzisiaj jeszcze usłyszę wilgę, to spotkam Ją nareszcie.

Ale już późno. Wilgi zwykle gwiżdżą około południa.

*
* *

Rozległ się tętent konia z drugiej strony domu, od podjazdu. — Okszyc skrzywił się, bo nie lubił depesz i nieproszonych gości. Posłyszał zbliżający się przez pokoje chód mężczyzny w grubych butach, przez chwilę zgadywał, ale ujrzawszy we drzwiach tęgą postać Frania Wareckiego, ucieszył się, bo mogło być gorzej.

Był to sąsiad i krewny Okszyca, rosły dwudziestoośmioletni chłopiec, ładnie ogorzały na twarzy, z której tem bardziej świeciły wesołe oczy i zdrowe zęby. Skończył podobno gimnazjum, służył w ułanach, obecnie zaś był już obywatelem, bo chociaż się jeszcze nie ożenił, dostał od rodziców folwark w sąsiedztwie Bernatowic, przedstawiający mniej więcej jego schedę. Miał więc podstawę bytu i stanowiska. Przytem, kobiety przepadały za nim, jak sam mówił.

Okszyc lubił Wareckiego za jego powierzchowność, tak dobrze zastosowaną do zajęć i pragnień,

że stawała się estetyczną. Lubił też jego rozmowę płaską, ale dorzeczną i szczerą; widział w nim dobry typ młodego szlachcica, który w salonie był trochę parobkiem, ale zato w polu i na koniu — trochę panem. Traktował go przyjaźnie.

— Mój Stachu — rzekł Warecki zaraz po przywitaniu — przyjeżdżam do ciebie z wielką prośbą: pożycz mi ze dwieście rubli, które ci oddam po zbiorach, bom tak się wypłókał...

Okszyc dobył odrazu dwieście rubli z pugilaresu, dał je i dopiero potem zapytał:

— A na cóż ci to potrzeba?

— O! zaraz na co? — zaśmiał się Franio, pokazując szeroki rząd zębów pod wyszczotkowanym w górę ciemnym wąsem — są chwile w życiu człowieka. — Zresztą *entre nous* powiem ci, że spotkałem w Warszawie Fiutkę — wiesz? Fiutka, ta co była ze Zbarazkim? Ona ode mnie nic nie bierze, ale czasem muszę wystąpić z jaką owacją, niby zamiast kwiatów.

Okszyc słuchał, mrużąc oczy i puszczając dym papierosa cienkiem pasmem przez małe usta, które składał dziwacznie w ciup, marszcząc skórę naokoło. Przerwał Wareckiemu:

— Oj ty! wiecznie włóczysz się za spódnicami.

— Cóż robić? Kiedy, mówię ci, jak zobaczę ładną kobietkę, zaraz mam do niej taką... jakby to? — sympatyjkę. Zaraz muszę dowiedzieć się, czy się uda? I zwykle uda się, tylko trzeba umieć. Zresztą, znają się one, bestje, na mężczyznach. Jak który zacznie traktować od filozofji, od kurtuazji,

od wielkich tam sentymentów, to każda myśli: nudziarz, albo co gorszego. Ale jak się zabrać po przyjacielsku, a pomówić trochę ciepło, a poprosić,— to, słowo daję, prawie każda uzna za stosowne nie być zbyt srogą.

Okszyc słuchał bez najmniejszego zapału, jednak z uwagą.

— Mówisz naturalnie o kokotkach? — zapytał Frania.

— Ee! — i mężatki są bardzo podobne. Nawet powiem ci, *entre nous,* ta mała Wahrfeld, albo pani Doryna... ja ich tam nie kurmacheruję, bo to wiele zachodu i mało pożytku; ale gdybym tylko chciał — fiu, fiu.

— Wiesz, Franiu, że się tak o kobietach nie mówi.

Spojrzał młodemu urwisowi głęboko w oczy, aż tamten zarumienił się i począł się wykręcać:

— Przecież ich nie obmawiam; tylko tak mi się zdaje, sądząc po ich obejściu, a może się mylę?...

— Ja tych pań prawie nie znam — rzekł Okszyc — nie obchodzą mnie wcale; ale obchodzi mnie kobieta moja w każdej kobiecie.

Warecki spojrzał na Okszyca trochę jak na warjata, a pan Stanisław mówił, patrząc w dal ogrodu, jakby się zwracał do drzew, zwykłych jego rojeń powierników:

— Tak. Ja cenię w każdej kobiecie jej godność człowieczą. Nie ten pospolity „honor“, ale godność kobiecą. Mogę szanować i taką kobietę, która oddała się mężczyźnie z prawdziwej miłości,

chociażby naprzykład uciekła od męża. Oczywiście — trzeba znać każdą taką historję, zanim się ją oceni. Ale to mnie poprostu boli, jeżeli kobieta, mająca w sobie pierwiastki piękna moralnego, kobieta zdolna do miłości, upada przez próżniactwo lub rozpustę. Ja wierzę w anioły niewieście, mieszkające nawet w pospolitych napozór kobietach. Te anioły śpią w nich — i mężczyzna może je obudzić, albo zbezcześcić i zabić. I to mi jest wstrętne. Dlatego odłączam te brudne lub biedne wyrobnice miłości od kobiet, stojących wyżej w społecznej i moralnej hierarchji. I kiedy o tych ostatnich słyszę coś uwłaczającego, boli mnie to — powtarzam — bo i ja kocham kobietę, tylko inaczej, dla niej bardziej, niż dla siebie, a kocham ją może lepiej, niż wy.

Powstał i chudą swą, długą postać wyprostował. Oczy świeciły mu blaskiem trochę błędnym. Chociaż wypiękniał i coś duchowo rycerskiego było w jego postawie, Warecki zauważył po cichu, że „temu tak łatwo nie uda się z każdą“, nawet gdyby jej „wygarnął tę przedmowę“.

Zapytał o co innego:

— Może jesteś zaręczony?

— Tak — rzekł Okszyc, patrząc gdzieś w górę i w dal na ostatnie blaski słońca — jestem zaręczony oddawna, ale nie wiem, czy Ją kiedy spotkam...

Franio coraz podejrzliwiej spoglądał na Okszyca i poszukał innego przedmiotu rozmowy.

— Co to czytasz? — zapytał.

Okszyc, jak pierwej zdawał się mówić nie do Wareckiego, tak i teraz nie śpieszył się z odpowiedzią. Zaczął ciągnąć nerwowo raz po raz dym z papierosa i zakaszlał ciężko.

— Poco ty palisz tyle, mój Stachu? — rzekł Warecki, który, mimo różności usposobień, lubił i szanował Okszyca.

— Ha, przyzwyczaiłem się. Chodźmy do pokoju, bo trochę już chłodno.

Rzucili jeszcze okiem na dogasający dzień. Na niebie zachodnie łuny przejrzyste walczyły z gęstszym fioletem, który powoli wchłaniał je w siebie i nieznacznie stawał się nocnym błękitem. Nad domem, w zenicie, zaczęły drżeć białe gwiazdy.

— Czy słyszałeś dzisiaj wilgi? — zapytał nagle Okszyc, bez związku z rozmową.

— O jej! ile ich tam jest u mnie! A tobie na co ta zwierzyna?

— Na nic — lubię ich głos...

* * *

Zebrali fotografje z ławki i weszli do domu. Przy lampach powtórzył Warecki pytanie, wskazując na książkę:

— Co to czytasz?

— To jest coś nowego o muzeach ateńskich. Bardzo ciekawe są wykopane na Akropolis posągi kobiece. Jak ci się ta podoba? Patrz — rzekł, podając Wareckiemu dużą fotografję.

Franio popatrzył, pokręcił głową i odpowiedział:

— Cóż mi się ma podobać? ten długi nos nawet nie grecki, te ukośne oczy, ten głupi uśmiech? Albo ta koszula ułożona w fałdy, jak kolumna.

— To jest archaiczny typ attycki; a co do koszuli, dobrześ to powiedział; ten chiton wygląda, jak kolumna jońska. Ale ta nie dla ciebie — znajdę ci inną.

Przerzucił stos kartonów i wynalazł Wenerę Melijską, w doskonałej, nie retuszowanej fotografji Brauna.

— Cóż o tej powiesz?

— Jakże znowu sądzić o kobiecie, która nie ma rąk? Ale jest piękna — rzekł, wpatrując się pilniej. — Trochę w stanie za gruba... a może i nie?... Kobiety bez ubrania rzadko bywają piękne, a tęby znowu ubrać po naszemu, wyglądałaby dziwnie. Jednak widać, że to nie byle kto... Niema co mówić — tęga baba!

Uśmiechnął się do niej inaczej, niż wtedy, gdy mówił o Fiutce; wpatrywał się dość długo, z pewnem nawet uszanowaniem.

Może to czynił trochę przez ustępstwo dla Okszyca, a może nawet na tę pierwotną duszę i nierozumiejące oczy podziałała powaga tej boskiej nagości.

Przeszli do sali jadalnej na kolację.

Okszyc był już rad z odwiedzin, bo lubił Wareckiego za jego serdeczną szczerość; Franio zaś dostał pieniędzy, dostał dobrego wina, rozgadał się i zaczął troszczyć się o zdrowie krewnego.

— Za dużo palisz, siedzisz ciągle w domu — to niedobrze, Stachu.

— Czy niedobrze? — pytał pan Stanisław z pobłażliwym uśmiechem.

— Oczywiście. Wiesz co? chodźmy jutro na dubelty.

— Idźmy na dubelty.

— A pojutrze pojedźmy razem na imieniny pani Anny do Rzędzina. Będzie tam duży zjazd, mnóstwo panien do wyboru. Tylko jeżeli jesteś zaręczony?...

— E, gdzież tam! Mówiłem sobie tak. Może się z tobą wybiorę. Ja jeszcze lubię poznawać panny.

— Brawo, Stachu! — zawołał Franio. — Będzie tam jedna panna z Podola. Mówię ci rzęsy takie — (pokazał długość pół palca) wysmukła, śliczna dziewczyna — a łydki!...

Pocałował palce z rozrzewnieniem.

— Ech, mój Franiu, jak ty znowu gadasz?

— No cóż? widziałem, jak wsiadała na konia. Czegóż nie mam patrzeć? Albo dlaczego ona nie ma mieć pięknych łydek?

— Już dobrze. Jak się nazywa?

— Halka Marliczówna.

— Córka tego bogatego Marlicza?

— Nie — i to jest właśnie jej defekt: nie ma posagu. Dlatego też ja nie mogę o niej myśleć. Ożeń się ty z nią, Stachu.

— Ech, ja... już stary jestem, dla niej w każdym razie.

— Cóż znowu? masz trzydzieści trzy lata.

— Trzydzieści pięć.

— Ja ci ją skaptuję; chcesz?

— Daj pokój, Franiu; to są zbyt poważne sprawy, aby je można tak poprostu załatwiać.

— A jakże się załatwiają zawsze? Przyjeżdżasz; wiedzą, kto jesteś; matce się przedstawiasz (jest tylko matka). Matka ci mówi, że słyszała o tobie, albo o twoim ojcu, kłaniasz się. — Dosyć. — Potem zawracasz pannie kontramarkę: opowiadasz jej o Grecji, o Atenach, o boginiach. Już ja cię przecie nie będę uczył, co masz jej mówić o Grecji.

W miarę jak Warecki wpadał w humor, Okszyc pochmurniał. Aż Frania to zniecierpliwiło i skrócił odwiedziny. Jako starszemu, bogatszemu i wogóle wyższemu na drabinie społecznej, Warecki nie śmiał powiedzieć Okszycowi:

— Jesteś niedołęga.

Ale myślał tak, wracając konno, po księżycu do domu.

II.

Długi węgierski wózek, zaprzężony w parę rączych mierzynów, turkotał po szosie. Powoził zgrabny chłopiec w kitlu i czapce liberyjnej, a z tyłu siedzieli Okszyc i Warecki, ubrani w jasne płaszcze od kurzu i w słomiane kapelusze. Franio, zmorzony upałem i jednostajnym ruchem, spał, sie-

dząc, wybornie. Miał on zresztą za zasadę korzystać z każdej chwili zdatnej do snu, bo niewiadomo, co może się zdarzyć w nocy, a tymczasem co odeśpi, to jego. Że był zdrów i zahartowany, umiał spać na bryczce, na koniu, we wszystkich pozach i okolicznościach. Okszyc, który zasypiał trudno, nawet w nocy i w doskonale zasłanem łóżku, patrzył na Frania z podziwem. Nie było jednak w tym podziwie zazdrości, bo pan Stanisław wogóle mało miał w sobie goryczy; porównywał się tylko z Wareckim i litował się nad samym sobą: czemu nie dała mu natura tego pięknego zdrowia, tej cielesnej machiny normalnie działającej, tej beztroski i uciechy życia? Obdarzyła go wprawdzie zupełnie innym mózgiem — wiedział o tem — mózg ten wypielęgnował, wyrobił przez naukę i spekulację, znał wyższe dziedziny myśli, mógł odkrywać częściowo nowe światy, niedostępne takim Wareckim; rozumiał nawet głębiej to zwykłe, potoczne życie, przez które szedł smutny, podczas gdy tamten szedł wesół i pozornie zwycięsko. Ale te przywileje, które znał, nie wbijały go w dumę; owszem, pytał się często, czy nie miał słuszności Byron, gdy mówił, że za przedłużenie jednej nogi, którą miał krótszą, oddałby cały poetycki talent.

Czuł się jednak dzisiaj nieźle i jechał na imieniny do państwa Lisów z zaciekawieniem. Był przed paru laty w Rzędzinie, ale dojeżdżał tam koleją z Warszawy, teraz zaś wybrał się końmi z Bernatowic. Jechał już parę godzin i wkraczał w okolice, których nie znał, albo tylko je sobie

przypominał z dziecinnych lat, kiedy z rodzicami jeździł do Bernatowic końmi z Warszawy, jeszcze przed budową kolei.

Pan Stanisław lubił bardzo podróże i, dostawszy duży majątek po śmierci ojca, jeździł często po Europie, zajrzał nawet ostatniemi czasy do Azji i Afryki. Po skończonym trzydziestym roku życia przesiadywał częściej i dłużej w Bernatowicach i stąd robił długie wycieczki końmi. W podróżach po własnym kraju miał Okszyc inny cel i inny rodzaj wrażeń. Celem jego, bardzo ukrytym, było — wyszukać sobie żonę. Nie przyznawał się do tego, szukał według zasad i prawideł niepochwytnych dla ogółu i dlatego miano go powszechnie za oryginała i kandydata do starokawalerstwa. Wrażenia zaś podróży tem głównie różniły się od wrażeń zagranicznych, że we Francji, lub w Grecji Okszyc stwierdzał rezultaty dawnej i nowej cywilizacji mniej więcej obojętnie, dla nauki, dla przyjemności zmysłowej. Jeżdżąc zaś po wsiach i miastach polskich, zajmował się nietylko stylem okazałych budowli, nietylko rysunkiem krajobrazu, ale i użytecznością, znaczeniem, przyszłością wszystkich pomników i objawów życia.

Dzisiejsza więc podroż szosą dostarczała mu ciągłych przedmiotów do spostrzeżeń.

Zauważył, że około szosy stały domy zajezdne duże, murowane z pewną pretensją do architektury, często nawet ze smakiem: wejście główne ozdabiały wklęsłe otwarte przedsionki, o dwóch lub czterech kolumnach. Wszystkie te domy były w stylu pierw-

szej ćwierci 19-go stulecia, pseudoklasycznym, doprowadzonym *ad minimum*, ale nie zupełnie zatartym. Ogromne, również murowane, stajnie, dotykały do austerji zwykle pod kątem prostym — i całość tych zakładów świadczyła o dawnych większych wymaganiach podróżników, o czasach, kiedy krążyły po kraju karety poszóstne, kiedy popasano i nocowano w zajazdach. Dzisiaj złe utrzymanie tych domów, przedziurawionych zwykle gdzieś na rogu przez szynk żydowski, okazuje widocznie małą ich użyteczność. Pan Stanisław myślał dość długó, na coby je użyć można, zwłaszcza po wprowadzeniu monopolu wódczanego.

Migały około drogi dwory, ogrody, budynki gospodarcze. Okszyc sieszył się, gdy je znajdował w porządku. — Szumiały drobno wielkie łany owsa, gęste kopy lub sterty oziminy świadczyły o bogactwie roli, pachniała gryka miodem i koniczyna swą wonią osobną, z którejby można wyrobić najwytworniejsze perfumy, — myślał pan Stanisław.

Tutaj znów dobrze założono sad. O! bardzo dobrze. Zielone kule drzew owocowych siedzą rzędami zwartemi w jednym kierunku dwa razy gęściej, niż w prostopadłym (ze względu na późniejszy rozrost i usunięcie co drugiego pnia), a pomiędzy niemi rozłożysta kapusta, gęsty las fasoli i, między delikatnym, wycinanym liściem marchwi, czerwone i różowe maki, lub wybujały słonecznik. Pachnie tu dobrobytem i obfitością — ucieszył się znowu pan Stanisław.

Ale gdy przejeżdżał przez żydowskie miasteczko drewniane, cuchnące i zabłocone, nawet w tej porze zapachów i słońca; kiedy znów zobaczył walącą się chatę we wsi, z oknem nie większem od zwyczajnego lufcika; kiedy droga dojazdowa do szosy zarysowała się szeroką ławą piasku, wijącą się przez pole, jak wyschłe łożysko rzeki, — pan Stanisław zapadł w smutek.

Jechał po swoim kraju i odczuwał wszystkie jego piękności, bogactwa i niedostatki.

Szosa ciągnęła się znów polem, daleko rozłożonem w prostokątne figury zbóż, traw i ugorów. Senny powiew błąkał się po równinie, rozpędzał trochę upał i od dalekich łąk przynosił ledwie dostrzegalne tchnienie wilgotne, bo już miało się ku wieczorowi.

Okszyc myślał o pannie Halce Marliczównie, której nie znał. Przypominał tylko pochwały Wareckiego.

Gdyby to Ona była? Jest podobno wychowana na wsi; może dusza kobieca pozostała w niej świeża, zdolna do wielkiego kochania? Może długie jej rzęsy kryją oczy zaufane, pełne oczekiwania miłości?

Okszyc miał o miłości teorje swoje własne, a przynajmniej samoistnie wyrobione. Mniemał, że jak z fizycznego stosunku między mężczyzną a kobietą rodzi się istota trzecia, tak z doskonałego uścisku dusz powstaje siła nowa — i tę nazywał wielką miłością. Ta siła jest najwyższym wyskokiem życia, spotęgowaniem wszystkich władz, zwa-

nych sercem, a przez to samo wzniesieniem człowieka do jego najszczytniejszych przeznaczeń. Wartość bowiem człowieka oznaczał tylko stopniem rozgrzania jego serca. Do objawów serca zaliczał Okszyc religję, patrjotyzm, miłość piękna i popędy do poświęcenia własnych korzyści dla cudzych. Wszystko to znajdował, czy umieszczał, w tej idealnej miłości, której nie doświadczył, a pragnął nieskończenie. Szukał jej przez całe życie, to jest szukał duszy kobiecej, z którąby mógł wejść w to tajemnicze, pełne nadziemskich dreszczów, porozumienie, z którąby mógł stworzyć ową siłę i ową piękność.

Kochając piękno plastyczne w sztuce, nie mógł być na nie obojętny w naturze: to też wymarzona jego kobieta była piękna. Ale nie była to piękność zmysłowo drażniąca, jeden z tych „wabików“ kobiecych, które ciągną za sobą czeredę mężczyzn, znajdujących się w promieniu pewnego oddalenia. Piękność jej była poważna, zawarta głównie w oczach, w dobrym wyrazie ust, w harmonijnym ruchu postaci. Jej pozory zewnętrzne odpowiadały wielkiej wewnętrznej słodyczy, szlachetności i poczuciom estetycznym. W tej kochance było nieco siostry i nieco muzy.

Jednak, chociaż Okszyc był przekonanym idealistą, miał dosyć praktycznego rozsądku, aby uczynić pewne ustępstwa ze swych marzeń na rzecz prawdopodobieństwa i mierności ludzkiej. To też szukał kobiety, zbliżonej tylko do tego ideału, zostawiając nawet dość szerokie pole jej indywidualności, nieobjęte tymże ideałem.

Inna strona tego rojenia była smutniejsza: on może jeszcze znajdzie tę kobietę i pokocha bez granic, ale Ona czy go pokocha?

Chociaż wzniesiony ponad poziom ludzi go otaczających, pan Stanisław nie miał w sobie zaufania, gdy chodziło o podbój kobiecego serca. Mówił dobrze, zdolny był do zapału, — jednak w obejściu się z kobietami zachowywał pewną sztywność moralną, niezdatną do niczego, chyba do wzbudzenia szacunku. Szanowały go aż nadto.

Poprostu Okszyc nie czuł się dostatecznie pięknym. Czuł bezzasadność obiegających po świecie teoryj, jakoby piękność męska była zaletą zbyteczną, jakoby nie ważyła nic na szali wewnętrznego szczęcia i powodzenia w życiu; a nie mógł znowu pocieszać się myślą, że każdy kulawy znajdzie swoją kulawą i z nią się ożeni, bo ta kombinacja obrażała nietylko jego dumę, ale i kult dla estetyki. — Nie był znowu brzydki: trochę za chudy i trochę za blady; nos miał za długi, usta za małe, ale był wysoki, wcale nie pospolity, — owszem, kto go raz ujrzał, pamiętał jego typ szlachetny i ujmujący. Wprawdzie pamiętali go przeważnie mężczyźni.

Liczył on niewiele kobiet w swych wspomnieniach kawalerskich. Bardzo późno, w dwudziestym roku życia, poznał po raz pierwszy zmysłowy uścisk kobiecy. Córka gospodyni domu, w którym mieszkał jako student w Berlinie, fertyczna mieszczanka lekkich obyczajów, postanowiła uwieść tego panicza, może tylko dla przyjemności inicjatorstwa.—

Zrozumiała, że tego poważnego i wytwornego młodzieńca trzeba „wziąć na miłość“; — jęła się więc sposobów zwykłych, na które łapią się codzień dużo wytrawniejsi od pana Stanisława: szukała jego spojrzeń, płakała, pisała listy. A młody Okszyc już wtedy marzył mniej filozoficznie, mniej zasadniczo, ale może goręcej, o budzeniu aniołów, drzemiących w kobietach. Dlaczegoby w Klärchen nie miał drzemać jaki niemiecki anioł ze szkoły kolońskiej? Po miesiącu tych z jednej strony niskich, z drugiej naiwnych zabiegów, doszło do pierwszej schadzki, pełnej uniesień, choć bardzo pospolitej, w mieszkaniu studenta. Po drugiej i trzeciej pan Stanisław myślał, że odkrył jednak coś pięknego, jakiś kwiat, — może nie różę mistyczną, ale ładny polny dzwonek. Klärchen zaś ze swej strony zauważyła, że Okszyc jest „ein feiner Mann“, a także „ein guter Kerl“. Ta ostatnia uwaga skłoniła ją do przesłania mu po tygodniu sporego rachunku szwaczki. Pan Stanisław wzdrygnął się i zapłacił. Gdy jednak przyszedł znów rachunek jubilera, kochanek zapłacił go znowu, potem oddał Klärchen ile tylko miał w kieszeni pieniędzy i przeniósł się do innej dzielnicy miasta.

Pierwsze rozczarowanie wstrzymało go na długo od poszukiwania wielkiej miłości. Ale raz rozbudzone zmysły brały czasem górę nad zasadami i Okszyc czasem, po winie, zabłądził w towarzystwie kolegów do jakichś nocnych kawiarni. Budził się nazajutrz zawsze ze strasznym niesmakiem moralnym.

Nie chciał szukać miłości kobiet zamężnych,— a to przez poszanowanie gniazda rodzinnego, przez wstręt do kłamstwa i przez wątpienie o doskonałości takiego stosunku. Gdyby pokochał mężatkę, rozwiódłby ją, albo z nią uciekł. Inna forma romansu nie mieściła się w jego teorji.

Rozmawiał dużo z kobietami, dając wogóle prym pannom; jednak, ponieważ kobietę kochał i starał się poznać moralnie we wszystkich gatunkach i wiekach, — rozmawiał i z mężatkami i ze starszemi paniami. Przedewszystkiem zaś rozglądał się po świecie i po gwiazdach, pragnąc zgadnąć, gdzie mieszka owa przeznaczona, której szukał.

A może to panna Halka Marliczówna?

Kiedy tak rozmyślał, bryczka, nie opuszczając szosy, wjechała w piękną, poczwórną aleję lipową, widocznie sadzoną jeszcze przed założeniem szosy, bo w oddaleniu dostrzegł Okszyc, że aleja zawraca do zwartej zieloności jakiegoś ogrodu.

— Już dojeżdżamy, proszę jaśnie pana — odezwał się woźnica, sądząc po ciszy za sobą, że obaj panowie zasnęli.

— Franiu! obudź się! dojeżdżamy do Rzędzina.

— Co? — aha — dobrze — co? A tom sobie chrapnął!... Śniło mi się, że jadę z panną Halką na podjazd — i pokazuję jej kozła, a ona rrym do niego. I właśnie jak ona rrym, toś ty mi krzyknął nad uchem. To ciekawe.

— Zauważyłem już dawno — rzekł Okszyc — że sen jest prawie błyskawiczny. W jedną tercję sekundy można prześnić całą historję, którąby trze-

ba opowiadać przez kwadrans. Ale to także zabawne, że obaj śniliśmy o tej samej kobiecie, bo i ja myślałem o pannie Marliczównie.

— Tak? — to szkoda, że nie mamy trąbki — pan Stanisław Okszyc jedzie w konkury.

— Cicho, daj pokój. A pamiętaj, żebyś mnie wziął na swoją odpowiedzialność wobec państwa Lisów, bo mnie wcale nie proszono.

— Cóż znowu! przecie zaręczyć można zgóry, że będą uradowani, że pochlebisz im swoją wizytą.

Zboczyli z szosy w aleję lipową włączoną do młodszego ogrodu, i wkrótce podcinane batem konie, spienione, zajechały tęgim kłusem przed dom biały, parterowy, piętrowy, rozłożysty, niewiadomo gdzie kończący się z powodu ilości przybudówek i połączeń z oficynami. Widać tu było, jak na rzymskim Palatynie, kilka warstw budowlanych jedną na drugiej, od domu Romulusa aż do pałacu Liwji.

We drzwiach, szeroko otwartych na duży ciemny przedpokój, ukazał się wspaniały szlachcic z siwym wąsem i czubem, z trzema podbródkami. Surdut leżał na nim, jak żupan, a laskę trzymał przy sobie, niby karabelę. Wolną rękę wzniósł z ozdobną fantazją do góry.

— Pana Stanisława dobrodzieja! Cóż za przyjazne bogi prowadzą cię w nasze progi? A witajże sąsiedzie miły! Mam nadzieję, że wieziesz z sobą kufry, bo przed tygodniem stąd nie puścimy. Serdeczniem ci rad, panie Stanisławie!

Przycisnął go do brzucha i pocałował.

Tymczasem Franio Warecki, o którym pan Lis chwilowo zapomniał, wszedł do przedpokoju i, kto się tylko zdarzył z kobiet, panie i panny, od najstarszych do najmłodszych, całował po rękach.

III.

Dom państwa Lisów był już zwykle ludny, bo składał się z pana Ignacego, z jego żony Anny, z trzech córek, wszystkich na wydaniu, i dwóch synów. Najstarszy z rodzeństwa, Władysław, pomagał ojcu w gospodarstwie. Dzisiaj zaś, na imieniny pani Anny i najstarszej córki, również Anny, zjechało się sąsiedztwo bliższe i dalsze. Dom, siedlisko o niezliczonej liczbie pokojów, przejść, schodków, klitek i ganków, roił się od strojów kobiecych, od fraków i czarnych surdutów — wyglądał jak ptaszkarnia.

Z dalekich stron przybyła też na dłuższy czas krewna państwa Lisów, pani Marliczowa z córką. Pani Anna obawiała się trochę współzawodnictwa pięknej kuzynki dla swoich córek, ale trudno: nadeszły imieniny. Od trzydziestu lat na św. Annę bywał doroczny bal w Rzędzinie.

I dzisiaj więc, ukryta za oknem na przystrojonej zielenią estradzie, gra wyborna żydowska kapela braci Blumów. Przez okno zagląda do sali pierwszy skrzypek, dyrektor Blum, zarostem udający Węgra. — Rżnie mazura od ucha.

W parterowym salonie dużym, niskim, stoją pod ścianami sześcionogie tapczany bez oparcia, modą francuską z przeszłego wieku, która już bodaj tylko w muzealnych pałacach i w wiejskich naszych dworach się zachowała. Jest to bowiem sala wyłącznie balowa; nawet istnieje wnęka w murze na orkiestrę, — tylko dla rozszerzenia miejsca kapelę Blumów umieszczono za oknem.

Mazur trwa już od paru godzin i ze starożytnej posadzki wznosi się lekki tuman kurzu; kandelabry i lampy dzwonią na swych półkolumnach; młodzież wywija, niektórzy tańczą zupełnie dobrze i dobrze są ubrani: są to eleganci warszawscy, a między nimi przoduje Franio, który prowadzi mazura z panną Anną, solenizantką, mając *vis à vis* Władysława Lisa z panną Halką. — Ale są i typy dziwaczne. Jeden paw w surducie chce koniecznie całą długą przekątnię salonu przejechać hołubcami, i ulotna jego pochyłość, przeciwna kierunkowi ruchu, sprawia efekt choreograficznie nowy. Drugi tak się pochyla w tańcu i tak okrągło wymachuje rękami, że wygląda, jakby, biegnąc, zgarniał przed sobą niewidzialne siano.

Dużo świeżych wesołych twarzy panien. Solenizantka, okrągła blondynka w niebieskiej sukience, z bławatkami we włosach, jest zupełnie ładna. Siostry jej, w takich samych sukniach, także blondynki, z lekkiemi odmianami. Tańczy też jedna mężatka, tragiczna, czarnowłosa i czarnooka, w pomarańczowej jedwabnej sukni, podobna, jak należy,

do Sary Bernhardt. Ale naprawdę ładna, zupełnie pociągająca jest Halka Marliczówna.

Tak sądzi i Okszyc, stojąc we drzwiach i przyglądając się z uśmiechem tańcom. Halka ma rzeczywiście niepospolicie piękne, ciemno-niebieskie oczy, nakryte bardzo długiemi rzęsami; brwi jej schodzą się prawie i razem z oczyma przecinają kształtną twarz linją jakiejś uroczej zadumy. Usta ma czerwone, mokre. Ciemne włosy zgrabnie ubierają jej głowę, osadzoną doskonale na ramionach. Okszyc zna się na rzeźbie greckiej i wie, jaki jest wdzięk w stosunku szyi do ramion. Panna Halka wyróżnia się też przez swą suknię z gazy szarej, ubranej śnieżno-białemi dodatkami wszędzie, gdzie graniczy z ciałem bardziej różowem. We włosach i przy staniku nosi duże rumianki.

Pan Stanisław, poznawszy ją już pierwej w ogrodzie, odrazu zwrócił uwagę na ładny jej chód, przyjemny głos, no i na oczy, których nie można pominąć nigdy, mówiąc o niej. Wydała mu się poważną, nie trzpiotką, chociaż bynajmniej nie smutną. — Owszem twarz jej była zwykle uśmiechnięta, a nawet, gdy się roześmiała raz na dobre, przed nagłym promieniem, wytrysłym z pod jej rzęs, przed błyskiem zębów — pan Stanisław spuścił oczy.

— Aż nadto piękna, — myśli teraz, śledząc jej powiewny, swobodny ruch w tańcu, — te oczy mogą rozumieć, te usta mogą być dobre, a postać jej wdzięczy się do oka sama, bez kunsztu, jedynie przez harmonję.

Halka stanęła we środku salonu i rozgląda się, kogoby wybrać. Podbiegła do Okszyca, wyciągając okrągłe ramię.

— Pani! jeżeli pani dobra, to wybierze kogo innego — ja tak źle tańczę...

Halka ładnie skinęła brwiami, aż się Okszycowi wydało, że mówi w półuśmiechu: — Rozumiem pana, nie chcę sprzeciwiać się panu.

I znowu szuka oczyma. Ujrzawszy gospodarza domu, podaje mu rękę przez cały szereg mężczyzn, przed nim stojących.

Stary Lis nie dał z siebie zażartować. Przecisnąwszy brzuch przez ów szereg, stanął do tańca. Pokręcił wąsa, zadarł czuba i, przytupnąwszy, poszedł przez salon poważnie, dość jednak prędko, aby pozwolić tancerce płynąć posuwiście. Na zawrocie przytupnął buńczucznie, wzniósł lewą rękę, a doszedłszy do miejsca, skąd rozpoczął, okręcił szybko dziewczynę wkoło siebie, ujął ją wpół i pocałował we włosy.

— Brawo, brawo, panie Ignacy! — rozlega się zewsząd.

Okszycowi podobał się bardzo manewr Halki: ściga ją wzrokiem i zdaje mu się, że spojrzała na niego przyjaźnie.

Zbliża się teraz do niego gospodyni domu: stara osoba, nieładna, w bronzowej sukni, i pyta, dlaczego sąsiad nie tańcuje?

— Tylu jest młodszych, proszę pani.

— Co też pan mówi, panie Stanisławie! pan ma najwyżej trzydzieści dwa lata.

— Trzydzieści pięć!

— Więc cóż z tego? W kawalerskim stanie wszyscy mężczyźni są sobie równi do lat pięćdziesięciu. — Niech pan sobie przynajmniej wybierze kogo do kolacji, bo mi tak przykro, że pan się nudzi u nas.

— Ależ łaskawa pani! bawię się, jak się już dawno nie bawiłem. Poszukam sobie towarzyszki do kolacji.

— Nie brak będzie amatorek — rzekła pani Lisowa zbyt uprzejmie, aż Okszyc uczuł potrzebę ukłonić się zbyt nisko — pan ma tyle do powiedzenia... *A propos* może pan chce usiąść obok Halki, bo mój syn będzie zmuszony ją opuścić dla swych obowiązków wice-gospodarza.

Okszyc odrzekł skwapliwie:

— Z największą przyjemnością.

Pani Lisowa ujęła szyldkretową lornetkę i szukała Halki po sali. Gdy ją spostrzegła w tańcu, rzekła:

— Ładna dziewczyna, ale kokietka. Nie wiem, jakie są pana wyobrażenia pod tym względem? Ja przyznam się panu pod sekretem, że nie bardzo jestem rada z jej towarzystwa dla moich córek. No, zaszkodzić im nie może, bo wychowane są bardzo czujnie. Poświęciłam temu wychowaniu najlepsze lata życia.

Mówiła dalej, że lubi Halkę, ale nie sądzi, żeby to był *genre* dla panienki bez posagu, bez nadzwyczajnych stosunków.

Okszyc, podczas gdy tak mówiła pani Lisowa, spoglądał na nią ze zmartwieniem. Nie wierzył jej słowom, tłumaczył sobie jej złośliwość przez wojujące uczucie macierzyńskie i nie oburzał się; ale bolała go każda dostrzeżona lichota i mierność.

Skończył się mazur i przechodzono tłumnie na kolację, a pan Stanisław nie zaprosił jeszcze Marliczówny, wahał się bowiem, czy być uprzejmym gościem i przypodobać się gospodyni domu, zapraszając inną pannę, czy natychmiast starać się o zawiązanie bliższej znajomości z tą śliczną panną Halką. Ten ostatni wzgląd pchnął go nareszcie do sali jadalnej.

Niestety, Halka siedziała już przy stole między dwoma mężczyznami, którzy dawno o te miejsca umówili się. Naprzeciwko siedział Franio Warecki z Anusią Lisówną, obok której drugie miejsce było wolne.

Pani Lisowa wpadła do sali, gorączkowo zajęta rozmieszczaniem gości i złapała za rękaw Okszyca:

— Panie Stanisławie! Zaprowadziłabym pana między dygnitarzy, ale wiem, że pan woli z panienkami. O — proszę tu siadać.

I posadziła go obok Anusi.

Błękitna i różowa solenizantka uniosła się trochę z krzesła i zwróciła się bardziej w stronę pana Stanisława. Przez cały dzień wyróżniała go pomiędzy młodzieżą: w ogrodzie dała mu kwiatek, w mazurze chciała go wybrać jeszcze przed panną Marliczówną. Pan Stanisław był jej za to wdzięcz-

ny, niemniej przecież Halka obchodziła go jedynie w całem towarzystwie i ucieszył się, że ją widzi przynajmniej naprzeciwko siebie i łatwo może do niej przemówić. Postanowił wciągnąć kilka osób, razem siedzących, do ogólnej rozmowy. Zaraz więc na zapytanie Anusi, czy w długich swych podróżach nie odwykł od kraju, odpowiedział obszernie:

— Trochę odwykłem, i dlatego teraz bardziej jeszcze kraj mi się podoba; odkrywam w nim codzień nieznane albo zapomniane piękności. Naprzykład ta droga z Bernatowic do Rzędzina wydała mi się nową i bardzo ładną. Jaka tu kultura u państwa, jakie piękne folwarki! a nawet pewna dbałość o estetykę w tych dworkach kolonistów przy szosie. U ludu ozdoba mieszkań jest już bardzo wysokim stopniem dobrobytu i rozwoju potrzeb duchowych. Rzadko ten stopień u nas się spotyka.

— Kiedy taka ładna droga, dlaczego pan tak rzadko nią jeździ? — spytała Anusia przymilnie.

— Od dzisiaj będę jeździł częściej, ale doprawdy nie znałem zupełnie okolic Rzędzina z tej strony, bo pierwej dojeżdżałem koleją.

— Czy pan pamięta, jak był ostatnim razem? Chodziliśmy na grzyby.

— Panie wszystkie były wówczas tak duże, jak te karafki.

— O nie! ja doskonale pamiętam.

Wszyscy mniej więcej słuchali, co powie Okszyc. Przytem zajęci byli sumiennie kotletami z groszkiem. Jeden z sąsiadów panny Marliczówny odezwał się nareszcie do niej:

— Czy pani lubi grzybobranie?

— Szczególniej w „Panu Tadeuszu“ — odpowiedziała Halka.

— Ma pani słuszność — wmieszał się natychmiast do rozmowy Okszyc, który czekał tylko na jej pierwsze odezwanie się — sceny rodzajowe w „Panu Tadeuszu“ pozostają dotąd niezrównane w naszej literaturze. A scena w karczmie, gdzie się zagrodowa szlachta wywodzi od książąt i od „tatarskich hrabiów“, i zazdrości sobie wzajemnie, i kłóci się, i gardzi chłopem — i potem, gdy ją Robak zbiera do swej tabakiery, do polityki, — ona zaczyna rozmowę „o różnych taratatki kształtach i czamary“. Aż, gdy zrozumieli, że im Robak zwiastuje wkroczenie Napoleona, wpadają w zapał, kończący się okrzykiem: „wódki, miodu, wina...“ Czy to nie nasze życie? nie nasza historja cała?

— To nie są moje ulubione sceny — rzekła śmiało panna Marliczówna — bo w nich jest trochę, zdaje mi się, satyry. Wolę jeszcze inne, naprzykład początek, albo burzę, albo spowiedź Robaka, a najbardziej lubię to: „O roku ów, kto ciebie widział w naszym kraju...“

Okszyc chwytał jej słowa uważnie, następnie prawie z rozrzewnieniem.

— Jak mnie pani ślicznie poprawiła! Rzeczywiście zwróciła pani uwagę na poetycką wartość, a ja bardziej na społeczną. Zupełnie jestem pani zdania.

Anusia, nadąsana trochę, wtrąciła swoje trzy grosze.

— Ja lubię całego „Pana Tadeusza“.

A Halka, uradowana z powodzenia, ciągnęła dalej:

— Przepadam jednak także za scenami „rodzajowemi“ jak je pan nazywa. Naprzykład na niedźwiedzie nigdy przecie nie polowałam, a z opisu Mickiewicza czuję, jaka to być musi okropna przyjemność. Może też dlatego, że lubię bardzo polowanie.

Tu odezwał się Franio Warecki:

— Panno Halino! prawda? rrym!

Marliczówna błysnęła ku niemu swym krótkim, jaskrawym śmiechem, który Okszyc zanotował po raz drugi. Spojrzał na Frania, na Halkę — i zauważył, że iskry porozumienia sypią im się z oczu. Wytłumaczył to sobie tem, że Warecki musiał opowiedzieć pannie swój sen na bryczce.

Wznoszono toasty, gwar urósł. Pan Stanisław, nie chcąc zapominać o swej sąsiadce, Anusi, i to w dzień imienin, wypił bardzo grzecznie jej zdrowie i począł z nią rozmawiać o różnych drobiazgach, uprzejmie, myślał jednak ciągle o Halce, nastawiając ucha na jej rozmowę, która teraz toczyła się o polowaniu z chartami.

— „Ja jestem ze stepu““ — dosłyszał.

— Widać, że pani stepowa, tak, z całej postawy i z noska, i z oczu... — brnął ktoś w nieudane komplimenty, na które Halka nie odpowiedziała uśmiechem.

Okszyc z zadowoleniem zauważył, że jest wesoła, ale nie zalotna. Rozmawiał zaś ciągle z Anusią o byle czem.

Wtem panna Lisówna zapytała go:

— *A propos* ogrodnictwa: czy wyrzucił pan mój kwiatek?

— Ach! przepraszam panią bardzo! kładłem frak i gdzieś mi się ten kwiatek podział — szukałem go nawet.

— Dam panu inny.

Zręcznie wyrwała bławatek z włosów i podała go Okszycowi, który bardzo dziękował i uczuł się w obowiązku włożyć go do butonierki.

W tej chwili Halka spostrzegła błękitną plamkę na wyłogu fraka pana Stanisława; spojrzała na niego z pewnem zdziwieniem, potem na Anusię, i przestała mówić.

Okszyc oddałby wszystkie bławatki panny Lisówny za jeden biały płatek z rumianka panny Marliczówny, — ale nie mógł tego w żaden sposób wyrazić. Czuł się jednak zadowolonym, młodym, prawie szczęśliwym. Jedna panna wyraźnie zaznaczyła mu swą sympatję, druga? — druga wydała mu się przez sympatję tamtej zasmuconą... Widocznie mógł się podobać. Natychmiast jego uczciwa natura nakreśliła mu plan postępowania z panną Anną nie będzie nadal rozmawiał, pannie Halinie owszem zacznie asystować. Teraz lub nigdy!

I łatwo zapalna jego wyobraźnia zaczęła pędzić w promienną przyszłość.

* *
*

Nazajutrz był jeszcze bal w Rzędzinie, chociaż większa część sąsiadów rozjechała się. Na trzeci dzień podano obiad w lesie, bardzo wesoły. Okszyc pozostawał jeszcze do jutra, zatrzymywany tyranicznie przez pana Lisa, który wywiódł swoją i jego genealogję aż do dziesiątego pokolenia, z czego okazało się, że są krewnymi przez Sapiehów i Górków, i że on, Ignacy Lis-Derewieński jest prawujem jego, Stanisława Okszyca. Stąd komitywa jeszcze większa, puhary i nazywanie się po imieniu.

Panie z Rzędzina stały się nieco zimniejszemi w obejściu, gdy spostrzegły, że Okszyc stanowczo zaczyna zajmować się Halką. Dlatego pan Stanisław, mimo chęci pozostania tu przez tydzień, czuł się obowiązanym wyjechać prędzej.

Paru dni wystarczyło mu jednak do stwierdzenia idealnych stron charakteru Halki, która rozmawiała z nim chętnie, czuła jego wyższość umysłową, odpowiadała bez pretensji, ale śmiało i z dokładną znajomością swoich środków intelektualnych. Odkrył w niej dużo intuicyjnego poczucia piękna, smak i subtelność w poglądach. Z lubością zapisywał w pamięci różne jej zdania.

— „Ranek to jest szczęście dnia".

Albo:

— „Nie lubię ludzi, którzy *chcą* mieć wolę".

I dziwił się jej porządnej erudycji: mówiła dobrze po francusku, znała mitologję, czytała wszystkich wielkich poetów, znała się na gospodarstwie kobiecem.

Jedynie jej upodobanie do sportu końskiego i łowieckiego nie znajdowało oddźwięku w duszy Okszyca. Ale tłumaczył to sobie potrzebą wydatkowania sił u tej młodej i zdrowej dziewczyny.

Pan Stanisław pokochał też odrazu matkę Halki. Była jeszcze ładna i podobna do córki, a przytem cicha, wykształcona, gorąco przywiązana do swej jedynaczki. Z nią mógł Okszyc rozmawiać swobodnie o wszystkiem: o nowoczesnej literaturze, o potrzebach kraju, nawet o miłości; znajdował w jej odpowiedziach echo sympatyczne dla swoich poglądów. Zapewne i Halka będzie taka, gdy z nią pomówi o wszystkiem?...

Gdy raz pani Marliczowa wyraziła chęć zwiedzenia Lublina, pan Stanisław ofiarował się na przewodnika i usłużność tę przyjęła matka Halki z zadowoleniem, wyznaczyła termin za tydzień, prosząc, aby nie mówił o tem Lisom, bo... byliby może nie radzi.

Okszyc zrozumiał i rozpromienił się.

Na czwarty dzień po południu zaszła nareszcie przed dwór bryczka Okszyca, na którą wsiąść miał sam, bo Warecki pozostawał tu jeszcze do jutra.

Do przedpokoju wysypała się cała kolonja Rzędzińska. Wszystkich ogarniało rozrzewnienie. Pani Lisowa, nie wiedząc nic stanowczego o zamiarach pana Stanisława, miała łzy w oczach, panna Anna ścisnęła go mocno za rękę, mężczyźni całowali go z dubeltówki, przystępując do niego kolejno, jak do człowieka wybierającego się na biegun północny. Pani Marliczowa, stojąc obok córki, powiedziała mu cicho:

— Proszę o nas nie zapominać.

Halka nie powiedziała nic, ale miała przecudowne oczy.

A u stopnia bryczki oczekiwał uroczyście pan Lis z pachołkiem, który trzymał na tacy dwa puhary z winem. Jeden z nich podniósł pan Ignacy pod słońce, pokazując Okszycowi wyrznięty na szkle okręt i wiersz Horacego do Wirgiljusza:

Reddas incolumen, precor,
Et serves animae dimidium meae.

— Nie bój się, tem winem nie otrujesz się — rzekł stary szlachcic, widząc, że Okszyca przerażają rozmiary szkła.

I wolno, umiejętnie wypił „strzemiennego“.

Pan Stanisław wychylił puhar prędko, pożegnał się z panem Ignacym bardzo serdecznie, wskoczył raźno na bryczkę — i zobaczył jeszcze oczy Marliczówny.

Pierwszy raz od wielu lat poczuł się zupełnie szczęśliwym.

IV.

Czworo ludzi wchodziło bocznemi drzwiami, po południu, do pustego kościoła o trzech nawach, z wielkiem presbyterjum. Głosy ich przyciszone szły w górę, szemrały pod sklepieniami; twarze wzniesione oblewało blade górne światło. Dwie kobiety często skłaniały głowę i żegnały się, mija-

jąc ołtarze. Wyższy z dwóch mężczyzn począł mówić głośniej:

— Kościół Dominikanów założył Kazimierz Wielki w roku 1342 na miejscu dawniejszej kaplicy św. Krzyża. Ale ten gmach, który panie widzą, nie jest cały z owej epoki, — jest owszem bardzo ciekawym, składanym pomnikiem różnych epok, jak owe San Lorenzo, albo San Clemente pod Rzymem.

— Czy tamte są podobne? — spytał śliczny głos dziewczęcy.

— Ani trochę, proszę pani — ciągnął dalej przewodnik. — Chciałem tylko powiedzieć, że są tu, jak tam, aż trzy style odrębne, szczepione jedne na drugim, a powstały z następujących po sobie odnawiań. Więc są ślady pierwotnego gotyku krakowskiego, które paniom wskażę w kilku miejscach kruchty i zakrystji; są następnie piękne pomniki renesansowe, pochodzące z odnowienia przez Firlejów, po pożarze w roku 1505; i znów barok włosko-jezuicki, panujący tutaj, datuje z odbudowania przez Janusza Tyszkiewicza, wojewodę kijowskiego, w roku 1653. Nie mówię o nowszych pomysłach, jak te naprzykład, bo są ohydne.

Wskazał na ozdoby z blachy, złote i błękitne, jednego z bocznych ołtarzy.

— Jaką ma pan szaloną pamięć i jaki z pana umiejętny cicerone! — rzekła starsza pani.

— O! on wszystko widział i wszystko umie — dodał basowy, dźwięczny głos.

— Mój Franiu! nie rób-że mi reklamy i nie wyciągaj mnie na popis, bobym przedewszystkiem nie chciał znudzić tych pań. A co do mej pamięci, przyznaję się, żem ją silnie odświeżył przed przyjazdem do Lublina. Przejdźmy do Firlejowskiej kaplicy, o tu — naprawo.

Pani Marliczowa z córką stanęły rzędem, za niemi Warecki, a Okszyc wystąpił naprzód i mimo, że chciał unikać profesorskiego tonu, wpadał w niego z konieczności. Zresztą było mu z nim do twarzy.

— Tu wchodzimy do epoki odrodzenia. Te pomniki Firlejów: Mikołaja, kasztelana krakowskiego, hetmana wielkiego koronnego, i Piotra, wojewody ruskiego, wykute z bazaltu i porfiru, w stylu czysto włoskim, są z połowy XVI wieku. Mają tu panie przed sobą dwie zwrotki całego kamiennego hymnu, który pozostał w Lubelskiem po Firlejach. Panie wiedzą zapewne, że nietylko nasze majątki należały niegdyś do Firlejów, ale Puławy, Knyszyn, Brzeszcza, Bochotnica, Markuszów, Janowiec, Parczew, Kock, Czemierniki, Końskowola, Dąbrowica, z której się pisali, Firlej, Firlejowszczyzna, Lewartów, nazwany od ich herbu Lewart, a przechrzczony przez Sanguszków na Lubartów, — setki miast i wsi dziedzicznych, oprócz starostw Krakowskiego, Lubelskiego, Kazimierskiego, Kowelskiego. Byli to w XVI wieku prawdziwi królowie małopolscy, bo nietylko piastowali wszystkie najwyższe urzędy: kasztelanów krakowskich, prymasów, hetmanów, marszałków, podskarbich wielkich, ale wychowywali się w Rzymie, we Francji, w Anglji, w Ho-

landji, podróżowali po Europie, Afryce i Azji, mieli niby monopol misyj dyplomatycznych i traktatów z obcemi mocarstwami, bili się za ojczyznę, wznosili miasta, szkoły i niezliczone świątynie, czynili ogromne ofiary na wojsko i skarb państwa. Trzęśli Rzecząpospolitą, to prawda, ale ją wzbogacali, cywilizowali i mocno kochali. To też Zygmunt August w jednem nadaniu pisze do Firlejów, że mało jest rodzin, które można z nimi porównać, ale żadna nie może być przed nimi postawiona w cnót i dzieł splendorze.

— I już ich niema zupełnie? — spytała Halka.

— Już dawno niema.

Wyprowadzając towarzystwo z kaplicy Firlejowskiej, Okszyc stanął na progu i wskazał kościół:

— Większe jeszcze wspomnienia mieszkają w tych murach. Sejm lubelski 1569 roku, sejm Unji, odbył się w tym kościele.

Obie kobiety i Warecki rzucili okiem po nawach kościelnych i wydały im się obleczone nową powagą, chociaż nie takie, jak je sobie wyobrażali, bo każdy nosił w myśli inny, większy obraz tej sceny ogromnej: Unja Lubelska. Spojrzeli potem, niby trwożnie, w oczy Okszyca, gorączkowo błyszczące.

Tymczasem Okszyc prowadził ich do kaplicy Niepokalanego Poczęcia i, przechodząc od XVI do XVII wieku naszej przeszłości, odrazu spuścił z tonu. Oddźwięczna jego dusza nastrajała się, jak arfa. Tłumaczył paniom historyczną wartość wielkich obrazów, prawdopodobnie polskich, przedstawiają-

cych różne zasługi synów Dominika; zwracał uwagę na wpływy włoskie w tych malowidłach, mimo, że powstały w epoce, gdzie te wpływy na innych polach ustępowały już niemieckim i francuskim. Mówił z mniejszym zapałem, przedzierzgnąwszy się naraz w drobiazgowego historyka, w antykwarjusza, w scholastę. Pokazywał szczegóły, pięknie rzeźbione odrzwia, strzelał, jak mówi Krasicki, z „Distinguo“ i z „Barocco“.

— To dużo mniej ciekawe — rzekła Halka.

— Prawda? i ja to myślałem — dodał Franio.

Tylko pani Marliczowa chodziła za Okszycem, jak za wyrocznią, notując szczegóły bez ładu, niby wolny słuchacz na uniwersytecie, niedostatecznie przygotowany do objęcia wykładu profesora. Ale pani Marliczowa pragnęła się jeszcze uczyć przez poszanowanie dla nauki. Wypytywała więc Okszyca o każdy obraz, o każdy kamień napisowy, który jej wpadł w oczy, a pan Stanisław odpowiadał ze słodyczą, bez cienia nawet pobłażliwości w głosie. Czujny był jednak głównie na zapytania lub uwagi Halki.

Ładna panna chodziła już teraz po kościele z pewnem znużeniem, ukrywając je przez wzgląd na Okszyca, o którego opinję dbała. Czasem więc dodała jaką uwagę, zaczerpniętą z poprzednich słów pana Stanisława, a on radował się i odnajdywał w niej skarby pojętności.

— To znowu coś z epoki Odrodzenia, może trochę późniejszej — prawda, panie? — rzekła, wskazując pomnik naprzeciwko kaplicy św. Jacka.

— Wybornie, panno Halino! Jest to pomnik Piotra Firleja, wojewody lubelskiego z r. 1619. Styl jego jest wyraźnie wcześniejszy od daty. Zawsze styl naśladowców idzie spóźniony za stylem twórców, czasami o ćwierć, o pół wieku, jak w tym wypadku. Mniejsze talenty czekają zwykle, aż jakiś rodzaj w sztuce stanie się modą i dopiero wtedy wkładają swoje pomysły do gotowych form.

— To tak, jak nasze powieści — wtrąciła Halka, mniej pewna siebie.

— Poczęści — odrzekł Okszyc — nie wszystkie, ale większa część. Pani ma wielki dar do porównań.

Przeszli do zakrystji, gdzie starożytne hafty pobudziły panie do przeglądu bardziej fachowego, niż artystycznego. Obie myślały, jakieby to z tego mogły być suknie i kanapy, ale się z tem nie odezwały, czując niewłaściwość nuty. — Pan Stanisław, pomilczawszy nieco przy oglądaniu haftów, zabrał znowu głos, gdy zakrystjan odsłonił wspaniałą monstrancję, srebrną złoconą, w stylu już barokowym, ze ślicznemi emaljami na złocie, pochodzącemi niezawodnie ze starszego, renesansowego relikwiarza.

Rozpoczął znowu wykład o nowych freskach w zakrystji, skopjowanych ze starych płócien, a gdy weszli do chóru klasztornego, wielkim półokręgiem umieszczonego za ołtarzem, rozwiódł się o fundacji tego chóru przez Janusza Tyszkiewicza, o rzeźbionych stallach, pulpitach i obrazach.

Wpadł znowu w ferwor i nie zauważył, że mówi już wyłącznie dla pani Marliczowej.

Halka, rzuciwszy mdłem okiem na tonący w zapylonym półmroku chór, wysunęła się naprzód, zdążając ku przejściu od chóru do presbyterjum. Poszedł za nią Franio i znaleźli się w pewnem oddaleniu od grupy rozprawiającej. Halka błysnęła nagle oczyma i zapytała cicho:

— Jakim sposobem znalazł się pan w Lublinie?

— Jakim sposobem? Ja oddawna wiem, co pani robi i gdzie jest, dokąd się wybiera — mam swoich szpiegów.

— Tak? To niebezpieczny z pana człowiek... chociaż ja nie mam nic do ukrywania, a także rada jestem zawsze pana widzieć.

— Panno Halino! — rzekł Warecki cicho i gwałtownie, czyniąc ruch ujęcia jej za rękę, który powściągnął. — Byłbym poprostu nieszczęśliwy, gdyby się pani na mnie choćby skrzywiła.

— A dokąd pan teraz jedzie?

— Do... do... Czy ja wiem? — rzekł, pokazując zęby — jutro się zdecyduję.

— A cóż szpiegowie mówią?

— Szpiegowie donoszą mi tylko o tem, co się stało; już ja sam zgadnę, co będzie.

Marliczówna spoważniała i rzekła:

— A ja nie wiem co będzie. Przyszłością swoją rozporządzają tylko ludzie bogaci.

Zawiesiła w powietrzu to westchnienie i rozejrzała się po mrocznym chórze. Warecki mienił się na twarzy, jakby walcząc z sobą. Tymczasem oboje przeszli między ścianą i ołtarzem, znikając z oczu matki i Okszyca.

— Lepsze od bogactwa jest serce — rzekł Warecki poważnie — sam Okszyc to mówi.

— Czy on tak mówi? — zapytała ciekawie Halka.

— To jest... on tak mówi, a ja czuję. Panno Halino! ja nie jestem mocno uczony, ani bogaty, ale czuję szczerze i głęboko.

Dziewczyna przesunęła po nim wzrok swój głaszczący, jak dotknięcie. Wareckiemu brwi ściągnęło gwałtowne, dziecinne postanowienie. Ujął Halkę za rękę i rzekł:

— Panno Halino, niech się dzieje, co chce, muszę pani powiedzieć...

— Panie! tu kościół! — rzekła Marliczówna przestraszona, cofając rękę.

Poszła prędko przed środek wielkiego ołtarza i uklękła, zasłaniając twarz rękoma. Po chwili jednak odsłoniła twarz zapłonioną i, zwróciwszy się do Wareckiego, ruchem rozkazującym wskazała mu miejsce obok siebie na kamiennej posadzce.

On bez namysłu przyszedł i ukląkł. Klęczeli tak z przymkniętemi oczami, skupieni, owionięci pobożną wonią kadzidła, snując w myśli prastare pacierze, a z serc wysyłając jedno zapewne pragnienie do Kierownika losów.

W tej chwili Okszyc i pani Marliczowa, okrążywszy ołtarz, znaleźli się z boku klęczącej pary.

Pan Stanisław miał czas objąć okiem ten nowy obraz i szybkim odruchem zawołanego estetyka stwierdził najprzód, że jest piękny. Potem dopiero zadał sobie pytanie: co oni tu robią, zwłaszcza

gdy Franio i Halka powstali pośpiesznie, jakby zawstydzeni, że ich złapano na gorącym uczynku — modlitwy.

Skierowano się ku wyjściu, zatrzymując się jeszcze tu i owdzie, a gdy opuszczono wnętrze kościelne, uderzyło wszystkich gorąco i jasność dnia: w kościele zdawało się, że już nadszedł wieczór.

Obejrzano jeszcze powierzchownie Zamek, Trybunał, bramę Grodzką i Krakowską, ale pan Stanisław poczuł, że panie dosyć już mają tych oględzin. Uścisnęły serdecznie rękę Okszyca, dziękując i „nie chcąc już nadużywać jego dobroci“.

Nazajutrz pani Marliczowa z córką miała wyjeżdżać znów do krewnych na wieś, nie posiadała bowiem własnej siedziby wiejskiej. Pamiętając lepsze czasy za życia rodziców i męża, pani Marliczowa nazywała „u nas“ Podole, gdzie było kilka majątków w posiadaniu Marliczów.

Okszyc dowiedział się, że panie będą we wrześniu w Warszawie i pozostaną tam dłużej. Zapytał, czy pozwolą się odwiedzić zaraz po przyjeździe i wymyślił nawet powód do zamiany listów z matką. Pani Marliczowa, zupełnie ujęta przez dystynkcję i dobroć pana Stanisława, widząc w nim przytem „dobrą partję“ dla Halki, przyjmowała chętnie jego uprzejmości wstępne, i Okszyc uczuł, bez wyraźnych porozumień, że zjednał sobie w matce stronnika. Z córką nie mówił dotychczas o niczem innem, tylko o sztuce, o znajomych, czasem, bardzo dyskretnie o jej upodobaniach.

Tak więc rozstano się aż do września.

V.

Pod koniec października pan Stanisław powrócił z Warszawy do Bernatowic. W Warszawie przebył sześć tygodni, cały sezon wyścigowy jesienny, i widywał często swoją ukochaną.

Kochał ją teraz bardzo podniosłem i bolesnem uczuciem; był przekonany, że ona urzeczywistniłaby jego idealne wymagania, gdyby pokochała go tak, jak on ją kocha; czuł, że w duszy tej, dziecięcej jeszcze, drzemią bohaterstwa poświęcenia i zachwyty wielkiej miłości; ale zdawał sobie sprawę, że ich jeszcze nie obudził. Dręczyło go więc mnóstwo pytań, a najważniejsze to: czy on ma prawo żenić się z nią, jeżeli ona mogłaby kogo innego pokochać goręcej?

Zadawał sobie to pytanie i dzisiaj, obchodząc po raz dziesiąty park, zasłany żółtą powodzią opadłych liści. Szedł prędko, bo od pewnego czasu czuł potrzebę szybkiego ruchu i zmęczenia, po którem zapadał wprawdzie w apatję, ale inaczej nie mógł sypiać, nie mógł usiedzieć przy swym samotnym obiedzie; miał nerwy rozdrażnione bardziej, niż kiedykolwiek.

Bardzo dawne jego pragnienie kobiety doskonale dostrojonej do jego rozumień i wyobraźni paliło mu teraz pierś pożerającym płomieniem. Ona jest, istnieje na ziemi, nazywa się Halka. Ale to jeszcze Galatea zimna, nie ożywiona iskrą m o j e g o życia.

Mówił do siebie nawpół głośno, a wokoło niego wiły się czarne konary dębów błagające, splątane z wiotkiemi brzozami, które senne, spuszczały ku ziemi swe włosy, nieutrefione zielenią.

Nagle pan Stanisław uśmiechnął się boleśnie:

— Ja Pigmaljon? Mój Boże!

I wszedł w aleję, ocienioną jeszcze przez gąszcz grabów, z których sypały się rdzawe liście, kołysząc się przez chwilę na powietrzu, spadając cicho na drogę, usłaną już grubym, szeleszczącym kobiercem. Okszyc przypomniał sobie wiersz, którego się uczył na pamięć, będąc dzieckiem:

De la dépouille de nos bois
L'automne avait jonché la terre,
Dans le vallon solitaire
Le rossignol était sans voix.

Triste et mourant à son aurore,
Un jeune malade, à pas lents,
Parcourait une fois encore
Le bois cher à ses premiers ans...

— Cóż znowu! nie jestem chory. Trochę szarpnęło mnie to życie warszawskie, ten kurz, potem znów mgła i wzruszenia. Tak mi jest, jak przeszłej jesieni. Jesień zawsze najgorsza.

Uderzył się w pierś, chcąc ją wybadać, ale biedne płuca zajęczały i pan Stanisław ciężko zakaszlał.

W Warszawie stroił się, watował ubrania dla zaokrąglenia chudych ramion i zapadłej piersi, czyniąc sobie w duchu wymówki za te niewinne oszu-

kaństwa. Krawiec mu mówił, że to nowa moda. Ale on dobrze wiedział, że modą najnowszą jest być zdrowym i pięknym. Naprzykład Warecki...

Franio gdzieś przepadł. Ostatni raz widział go Okszyc w Lublinie; potem w Warszawie, otrzymał od niego dwieście rubli, zwrócone z krótkiem podziękowaniem. Od przyjazdu pana Stanisława na wieś również nie pokazał się Warecki w Bernatowicach, gdzie dawniej co parę dni zajeżdżał. Ale Okszyc myślał o nim często i — dziwna rzecz — z powodu Halki.

Siłą wyobraźni lotnej i trochę nieokiełznanej przedstawiał sobie, właśnie, gdy się czuł niezdrów, że ma powierzchowność Wareckiego: duszę swoją, a postać Wareckiego. I wtedy podchodził do Halki śmiało — w wyobraźni — oświadczał się jej gorąco i bez zastrzeżeń, jak to czynił rzeczywiście, oświadczając się matce, prosząc o gruntowne wybadanie córki i odpowiedź piśmienną, na którą oczekiwał temi dniami.

Nie obce było nawet Okszycowi przypuszczenie małżeństwa między Halką a Franiem. Ten romantyk układał je czasem w myśli, cierpiąc, starając się wmówić w siebie, że szczęście osoby kochanej droższe mu być powinno od jego własnego szczęścia. Ale rozważał ściśle, czy Franio, ze swą dobrą, lecz niewykwintną naturą, może sprostać skrzydłami takiej kobiecie, jaką przeczuwał w Halce. Dochodził do wniosku, że nie — i to było usprawiedliwieniem jego własnych zamiarów, których się nie wyparł.

Chodził dalej po ogrodzie, pragnąc oderwać się od swych myśli sprzecznych i bolesnych. Rozejrzał się po gaiku z ciemnych świerków, które sam posadził dla zakrycia niepokaźnych widoków, i ucieszył się, że dobrze rosną. Potem namyślał się, jakby przeciąć miejscami zbyt gęste masy drzew, rozrosłych nadmiernie od czasu narysowania ogrodu przez pradziada. Wkrótce machnął ręką:

— Po co to? Jeżeli Halka będzie kiedy chodziła ze mną po tym ogrodzie, ona to sama zrobi. Ale nie widzę jej tutaj, a gdy ją zobaczę we śnie, nigdy nie opiera się o moje ramię.

Okszyc miewał często sny, które go uderzały realizmem szczegółów. Nie wierzył w ich własności prorocze, zajmował go jednak świat snów swą logiką osobną, potęgą obrazowania i nadzwyczajnemi skrótami wrażeń.

— Jak mi dzisiaj niedobrze!

Zapiął pod szyję watowany kubrak i wstrząsnął się. A dzień nie był zimny, tylko szary i zwiędły; nie było prawie przestrzeni między wierzchołkami wielkich drzew a mętnem niebem, po którem leniwo płynęły smutne wrony i kawki.

Pan Stanisław wrócił do domu i zobaczył na zwykłem miejscu, w pokoju zwanym bibljoteką, torbę pocztową, przynoszącą mu codziennie listy i gazety do Bernatowic.

Jestem pewien, że znajdę coś złego — rzekł, otwierając torbę.

Był list od pani Marliczowej. Zanim go otworzył, Okszyc starał się wytłumaczyć sobie, że list

zawiera odmowę. Nie może być inaczej. Całe zachowanie Halki w Warszawie było przyjazne, ale nie inne.

— Właściwie ja nie mam prawa z nią się żenić. Są ludzie nie dla szczęścia stworzeni.

Krótki list matki był tylko wstępem do własnoręcznego listu Halki. Pani Marliczowa, serdecznie zapewniając o swym szacunku i przyjaźni dla Okszyca, odsyła go do słów córki, o której szczęście tu chodziło. Okszyc, z bijącem sercem rozwinął arkusz, pokryty ładnem pismem, pierwszy raz widzianem, i przeczytał:

Szanowny Panie Stanisławie!

Mama powiedziała mi o wszystkiem i pozwoliła do pana napisać. Pan jest inny, niż reszta ludzi, i dlatego ośmielam się to powiedzieć, czegobym za nic w świecie nie powiedziała innemu. Wybór pana pochlebia mi naprawdę, — nic tu nie piszę dla frazesu, — ale i zasmuca, bo nie umiem panu ukryć, że nie jestem taka, jaką pan mnie widział i chwalił przed Mamą. Popisywałam się przed panem całą moją nauką, nic prawie nie umiem więcej, robiłam to dlatego, żeby pan nie miał o mnie złego wyobrażenia. Także mało mogę myśleć i krótko o rzeczach trudnych, lubię też się bawić, dużo bardziej, niż czytać albo rozmawiać. A pan mnie ma za naturę dystyngowaną i dlatego pewno pomyślał o mnie. Więc kiedy jestem taka, jak tu piszę bardzo szczerze, nie mogłabym być

pana towarzyszką. Proszę się na mnie nie gniewać, bo doprawdy bardzo cenię pański rozum i dobroć, ale, jeżeli kiedy wyjdę za mąż, to za równego sobie człowieka, któremu będę mogła towarzyszyć w jego myślach i zajęciach. Panby prędko poznał, że nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Piszę dlatego sama, że bardzo dbam o pana i myślę, że pan przyjmie lepiej proste moje słowa, niż tłumaczenie ich przez Mamę, któraby może chciała mnie osłonić. Proszę przyjąć serdeczne zapewnienie stałej przyjaźni od

Halki Marliczówny.

Pan Stanisław, przeczytawszy list, przeprowadził wolno dłoń po czole i po kamizelce. Spojrzał potem w ogród jeszcze posępniejszy, bo zaszło słońce i cień rozkładał się bez wdzięku, bez powietrza, na szare, niewyraźne masy i przestrzenie.

— Dobra, że napisała sama — rzekł.

Tej nocy miał gorączkę i przez następny dzień nie wychodził z domu. Znowu w nocy snuły mu się po głowie ciężkie mary, lecz nad ranem zasnął spokojniej i obudził się raźniejszy, widząc przez szparę okiennicy, że słońce świeci na dworze. Okszyc, jak wszyscy ludzie nerwowi, był bardzo wrażliwy na pogodę.

Napisał list do Wareckiego, zapraszając go do Bernatowic, bo sam jest niezdrów i nie może do niego się wybrać.

Po południu przyjechał Franio, jak zwykle konno, ale nie miał właściwego sobie humoru i znacznie przybladł, co mu dodawało jeszcze męskości i nerwowej energji.

— Cóż to? chory jesteś? — rzekł Warecki, wchodząc do bibljoteki, gdzie go oczekiwał Okszyc, ubrany zwyczajnie i udający wesołość, — wyglądasz dobrze, nabrałeś nawet rumieńców.

— Tak, udałem trochę chorego, żeby cię sprowadzić — odrzekł pan Stanisław. — Od wieków cię nie widziałem. Co porabiasz?

— Pracuję.

Okszyc zauważył pewną szorstkość w tonie Wareckiego, ale, bynajmniej nie zrażony, pytał dalej po przyjacielsku:

— Pracujesz tak zapamiętale? Nad czem?

— Ho — mam dużo projektów. Najprzód zakładam u siebie rybołówstwo.

— Dobra rzecz, jak się uda. Ale skąd ten nagły zwrot w przyzwyczajeniach? Nigdzie cię nie widać.

— Doszedłem do przekonania — odrzekł Franio gorzko, — że tyle człowiek wart, ile ma pieniędzy. Muszę koniecznie zbogacić się, bo bez tego ani rusz.

— Zapewne, zapewne... Nie wszyscy jednak ludzie kierują się względami pieniężnemi. Znam naprzykład takie panny...

— O! co tych, to ja nie znam! — zawołał Warecki.

— Owszem — panna Marliczówna?

Franio zmieszał się, spojrzał na Okszyca z ukosa, a potem wykrztusił:

— A cóż panna Marliczówna? Gadają, że się z nią żenisz?

— Już nie będą gadali. Dostałem odkosza.

— Jakto? co ty mówisz?

Pozbył się nagle swej sztywności i z najżywszem zajęciem przysunął się do krzesła Okszyca. Ten rzekł:

— Słuchaj, Franiu. Porzućmy obaj ten ton i pomówmy po dawnemu, jak krewni i przyjaciele. Ja nie mogę lekko o tem mówić, bo mnie panna Marliczówna za głęboko, za serdecznie obchodzi. Jest to śliczna i dobra kobieta.

— Jakto? sądzisz ją tak, dostawszy odmowę?...

— Jakżebym mógł inaczej? — odrzekł Okszyc, podnosząc nieco głowę. — A ty, Franiu, co o niej myślisz?

Warecki kręcił się na krześle; spojrzał na bladą, poważną twarz Okszyca i rzekł gwałtownie:

— Mój Stachu! Kiedy jesteś ze mną szczery, to i ja ci powiem. Myślałem już, że przestanę być twoim przyjacielem. Ja żyć nie mogę bez tej dziewczyny!...

— Kochasz ją? — zapytał Okszyc trochę rwącym się głosem.

— Mój Stachu! Przebacz mi, chociaż nic, prawie nic przeciwko tobie nie uczyniłem. Skoro tylko dowiedziałem się, że wyraźnie o nią się starasz, uciekłem, bo pomyślałem, że to nieuczciwie współzawodniczyć z tobą, który mi jesteś przyjacielem,

a jej możesz dać i majątek i pozycję, podczas gdy ja, oprócz że ją serdecznie kocham, cóż jej dać mogę dzisiaj?...

— Powiedz Franiu — możesz mi to powiedzieć: czy jej kiedy mówiłeś o swojem uczuciu?

— Ach, tak zupełnie — nigdy... tylko raz, w Lublinie, musiała zgadnąć, choć nic jeszcze nie powiedziałem.

— W Lublinie?

— Tak, u Dominikanów. Coś tak mnie wzięło za gardło, żem ledwie nie wypaplał.

— A ona co odpowiedziała?

— Nic. Kazała mi uklęknąć obok siebie — i nic więcej.

Okszycowi przemknął w pamięci obraz obojga młodych, klęczących przed wielkim ołtarzem Więc i wspomnienie odwiedzin kościoła Dominikanów, jedno z jego najlepszych wspomnień, nie należało już do niego... Przymknął oczy i ścisnął ręką skronie, a gdy po chwili odkrył twarz, miał wyraz podniecony, niemal wesoły, którego Franio nie zgłębił.

— To dobrze, żeś się wziął do pracy, Franiu. Masz całe życie przed sobą i... możesz się ożenić z Halką Marliczówną.

— Stachu! takich, jak ty, ja nie znam! — zawołał Warecki, zrywając się z krzesła i wyciągając dłoń do Okszyca.

— Jakto, mój drogi? — cóż w tem dziwnego, że ci radzę? Przecie mówiłem, żem dostał odko-

sza. Zresztą mnie się już nie żenić... Chciałem ci jednak powiedzieć co innego.

Warecki chodził teraz po pokoju wzburzony, rozrzewniony i zakłopotany zarazem. Okszyc, zgadując jego wahanie, zapytał:

— Myślisz o przyszłości i czy masz niby... prawo żenić się bez dostatecznych zasobów materjalnych?

— Widzisz, — rzekł Franio, uśmiechając się dziecinnie, a razem energicznie, — za dwa, trzy lata wyratują mnie te ryby. Nie drwij ze mnie; obliczyłem, że w trzecim roku, jeżeli wyrost będzie nawet średni, będę mógł sprzedawać rocznie za 4000 rubli. No — koszt założenia, utrzymania... Ale jak się wezmę do tego rękami i nogami, potrafię utrzymać siebie i żonę. Tylko jeszcze trzeba czekać co najmniej dwa lata.

— Dobrze, załóż sobie rybołówstwo, zbuduj młyn amerykański, albo fabrykę przetworów leśnych. Pożyczę ci na hipotekę twego folwarku 100.000 rubli.

— Taak! — odrzekł Franio, nie przestając chodzić po pokoju i biorąc za żart słowa Okszyca, — cała moja Baranówka warta netto może 35.000. A sam procent od takiej sumy...

Okszyc powstał i, kładąc rękę na ramieniu Wareckiego, rzekł dobitnie:

— Pożyczam ci 100.000 rubli i bardzo cię proszę, abyś ich nie odmawiał. Procentów nie chcę, a oddasz mi, gdy się dorobisz drugich stu. Niema

gadania, jestem twoim wujem i chcę ci pomóc w życiu. Dlatego cię dzisiaj sprowadziłem.

Franio patrzył na Okszyca zrazu bezmyślnie, bo wszystkie jego pojęcia o ludziach były sprzeczne z tem, co słyszał, i nigdy nie zdarzyło mu się zajrzeć w tak błyszczące oczy człowieka. Ale gdy nareszcie zrozumiał, że ten nadzwyczajny dziwak chce cudzego szczęścia, — jego szczęścia — coś mu zagrało w piersi i, objąwszy wpół chudą postać pana Stanisława, oparł głowę na jego ramieniu.

Okszyc położył kościste ręce na miękkich włosach Frania i uściskał go po ojcowsku:

— Tak, mój chłopcze, rzecz skończona: jutro jedziemy do rejenta, do Lublina, a stamtąd ruszysz zapewne do Warszawy, gdzie wiesz, co masz uczynić. A pamiętaj, co ci zawsze Okszyc mówił o miłości. To nie są stare bajki, to zapomniane wielkie prawdy.

Dziesięć minut potem pan Stanisław usłyszał pod oknami rozgłośny galop konia Wareckiego, jakiś triumfalny.

VI.

Około połowy listopada Okszyc otrzymał list od pana Lisa, który go prosił na polowanie do Rzędzina, prawił mu mnóstwo komplimentów, ściskał, całował i przesyłał ukłony „od jednej i drugiej Anusi“, najczulej go ciągle wspominających. Pan

Stanisław odpisał, że niezmiernie żałuje, ale jest chory i, skoro tylko będzie mógł, wybierze się do ciepłych krajów. Listopad wlókł się, szary i zimny. Od paru dni wiał silny wiatr północny, ścinając ziemię mrozem — i urósł nareszcie w suchą burzę. Drzewa około domu zahuczały nieprzerwanym basem i niekiedy tylko głos się wznosił, wpadając w kominy. Jednak granie to, chociaż ponure, było harmonijne, bo natura nie zna prawie nut fałszywych. Okszyc, patrząc na walczące z burzą wierzchołki jodeł, na szalone wiry żółtych liści, porywanych z ziemi w kręgosłupy, słysząc ciągle wycie wiatru, rozlane w przestrzeni, jak grzmot nierytmiczny, myślał, że zanim przyjdzie w całej swej grozie, otrąbia się zima.

Pewnego ranka, po zimnej nocy, którą odczuł boleśnie w płucach, pan Stanisław wyjrzał przez okno i zmrużył oczy przed ogromnym blaskiem. Jakby drzewa dostały naraz białych liści, całą ich przejrzystość napełniły jaskrawe, bajeczne puchy szronu, sypiąc iskry pod słońce. Ledwo gdzie niegdzie czerniało wnętrze jodły obwisłej, albo odziemek grubego drzewa. Oddalenia stały się nieobliczalne w tej rozlanej i piętrzącej się bieli o jasnobłękitnych cieniach, i park był zmieniony do niepoznania, zaczarowany w jakąś wizję polarną, pełen czystej powagi i śmiertelnej świetności.

Pan Stanisław chodził od okna do okna, bał się bowiem wyjść i odetchnąć świeżym zapachem pierwszego śniegu. Nigdy nie czuł się tak bojaźliwym fizycznie, jak tej jesieni.

Tego dnia otrzymał telegram od Frania z oznajmieniem o zaręczynach jego z Marliczówną.

Okszyc ucieszył się. Już był pożegnał swoje pragnienia, uważał je za niemożliwe i niewczesne, życzył zaś rychłego spełnienia szczęścia, do którego sam się przyczynił.

Zima, ukazawszy się raz w swej najpiękniejszej szacie, schowała się znowu. Po paru tygodniach słoty i wichrów, pan Stanisław poczuł się znacznie gorzej: samo oddychanie zaczęło go kłuć w piersiach. Lekarz wyprawiał go niezwłocznie do Cannes, ale on się ociągał, chciał bowiem przed wyjazdem zostawić swe papiery w porządku.

Zabrał się do pisania testamentu. Po krótkiem wahaniu, czy pozostawić Bernatowice w ręku krewnych swego nazwiska, doszedł do wniosku, że, nie mając żadnego bliższego krewnego Okszyca, między dalszymi nie widzi wybitnej osobistości, ani przyjaciela. Jednym więc zamachem pióra uczynił Franciszka Wareckiego swym ogólnym spadkobiercą, włożywszy na niego obowiązek wypłacenia kilku znacznych zapisów na instytucje naukowe i dobroczynne w kraju, oraz kilku legatów dla krewnych i sług.

— Ale Bernatowice będą w ręku Halki — pomyślał. — Ona będzie gospodarowała w starym dworze i w parku, gdybym umarł...

Nie wybierał się jednak na tamten świat koniecznie i z upodobaniem. Czynił tylko to na wypadek śmierci, co uważał za potrzebne do logicznego i godnego przedłużenia swej pamięci na ziemi.

Śpieszył, bo czuł się chorym. Listy i dokumenty miał w porządku, ale jedną jeszcze rzecz chciał przekazać spadkobiercom: swój dziennik.

Był to raczej pamiętnik filozoficzny, w którym znajdowały się, z powodu wypadków jego życia i epoki, różne uwagi o pięknie, o miłości i altruizmie. Martwiło go to, że nie ujął teoryj swych w pismo systematyczne, chciał bowiem, żeby jego wywody i doświadczenia nie przepadły. Wieczorami pisywał więc dużo aż do późnej nocy, poczem nie mógł zasnąć, albo spał niespokojnie. Podniecona wyobraźnia pracowała dalej i Okszyc śnił teraz co noc, aż go wspomnienia snów ścigały na jawie.

Świat snów był dla niego drugiem, równoległem życiem, rozwijał się na prawach swych osobnych, z dziecinną, ale potężnie twórczą logiką, a nawet miał poniekąd swój grunt realny, nie zaczerpnięty jednak z dotykalnej rzeczywistości. Okszyc znał naprzykład krajobrazy, nigdy nie widziane na jawie, a powtarzające się w jego snach, niektóre od lat dziecinnych. Pamiętał szczególnie wrażenie tych widoków i wrażenie wracało zawsze takie samo, tylko zarysy ulegały małym zmianom. Czasem też zjawiały mu się we śnie nieznane osoby.

Korzystając z paru dni znośniejszej pogody, pan Stanisław wyszukał w parku grupę brzóz, „przyzwoitą do osłonienia monumentu lub pamiątki“, i położył pod nią duży polny kamień, szlifowany z jednej tylko strony, na którym kazał wyryć napis:

Tibi Amor Aeterne.

Kamień ten w stylu puławskiej Ogrodniczki, dawno zamówiony, przyszedł dopiero teraz, późną jesienią, do Bernatowic. Okszyc położył go w miejscu upatrzonem i zadumał się smutno nad pytaniem, jak ten kamień będzie wyglądał na wiosnę?...

Tego dnia pisał znowu do późnej nocy, lecz, położywszy się spać, zasnął prędko, bez bólu w piersi, prawie bez troski.

Sen ulitował się nad niedolą człowieka i wywyprowadził duszę z nędznego ciała w dobre krainy.

Tak — zasnąłem w parku na zimnych liściach, bo była jesień, ale teraz już wiosna... Jak pachną te kasztany, stojące w długich rzędach podwójnych, jak te konie wiedeńskich fiakrów pędzą z wyuzdaną fantazją! I tłum cały śmieje się, bo muzyka gra ze wszystkich stron i jest wielkie święto na Praterze... Siądźmy przy byle jakim stoliku, moja Miła, wmieszajmy się w ten tłum mieszczański, ale taki grzeczny. Patrz — powstali wszyscy i kłaniają się nam.

Ładną mamy podróż ślubną! Prawda, jak nam dobrze z sobą? Ale mówmy coś do tych panów i pań, którzy się do nas przysiedli.

Jak Ona ładnie rozmawia i jak się wyróżnia od tych Paryżan, którzy tylko mówią, aby się popisać frazesem. Jaki ma śliczny półobrót głowy do mnie i błyski porozumienia w uśmiechniętych oczach! Masz słuszność, ja myślę to samo, co Ty, moja Jedyna; my nie możemy inaczej myśleć, bośmy dla siebie stworzeni od wieków. Jak to się jednak dzieje, żem Cię nigdy nie widział pierwej? Nawet nie podobna jesteś do żadnej z moich znajomych,

a przecież choć tak niedawno poznana, jesteś zupełnie moja. — I dlatego jesteś piękna, żeś taka moja — i dlategoś dobra, żeś moja. O tak — daj mi rączkę pod stołem, taką ciepłą, choć w duńskiej rękawiczce. — Usta twe pachną malinami. Jakie twe oczy mgliste przy pocałunku.

Oni Cię mają za Francuskę, boś taka zgrabna i żywa, gdy rozmawiasz. — Niech sobie! Wszystko nam jedno, co o nas ludzie myślą.

Czas jechać, bo się spóźnimy. Poco te paryskie fiakry wszystkie zamknięte? A tu właśnie wjeżdżamy na mój most i trzeba wysiąść, bo to jeden z najpiękniejszych widoków świata. Ślicznie zgarniasz suknię, wysiadając.

Patrz na lewo! Te nieprzeliczone rzędy kolumn, jedne nad drugiemi, piętrzące się ponad rzeką, za mgłą błękitną, co powstaje z wody, zaklęta przez Claude Lorraina. Najniższe są asyryjskie, wyższe doryckie, potem jońskie, koryncki, toskańskie. Każde pokolenie dodaje więcej tych ogromnych portyków, poza któremi są śpichrze i bogactwa narodów. Są tam i nasze.

A ta kopuła nad niemi, cofnięta w dal, napół rozpływająca się w błękicie, z jasnym krzyżem wśród firmamentu, to święty Piotr Watykański.

A na prawo, niedaleko od mostu, ten pałac z poczerniałego marmuru — myślisz, że to palazzo della Cancellaria? Nie, to mój pałac. Wejdźmy do niego.

I Okszyc wchodzi we śnie do swego pałacu, czując przy boku kochany ciężar kobiecego ramie-

nia, czując promieniejące ku sobie jej słodkie, serdeczne ufanie. Wchodzą do wewnętrznego podwórca, objętego z trzech stron krużgankami o lekkich kolumienkach, w trzy piętra. Oparta o mur naprzeciwko bramy, szumi fontanna ogromna, przewala się po oślizgłych trytonach, wydymających wodę z zakrzywionych muszli, siecze srebrną pianą grzbiety wesołych najad, jednych dorosłych, drugich ledwo wylęgłych z wody, które stadem uciekają z pod szumnej kaskady, rozsypując coraz szerzej białość i mchy obmokłe na stulonych ramionach.

W przedsionkach stoją posągi pięknych bogów i ludzi: dumne cezary, wdzięczna Afrodyta, potężny Zeus i smutny Antinous.

Galerje, galerje bez końca — frontony z Olimpji, z Eginy, odłamy fryzu Fidjasza. I mnóstwo rzeczy nowych, tylko co wykopanych w Sydonie? Tak — w Sydonie. Statuy kobiece archaiczne z ukośnemi oczyma, w krótkich płaszczykach na sztywnych chitonach. Jakie kolory jaskrawe w ozdobach, jak świecą te oczy z agatu i z emalji!

Sarkofagi, urny, stele grobowe. Kamienne pokrowce mumji, z wypisanem przekleństwem na tego, kto je otworzy — białe stele z pogodną grecką rzeźbą: młodzieńcy żegnają się z dziewicami, odchodząc; pomniki biskupów i rycerzy, śpiących sztywno pod łukiem, ozdobionym kwiatami i owocami, na trumnach. Pamiętasz groby Firlejów?

Okszyc prowadzi żonę przez wielkie schody, pełne jeszcze odłamów rzeźby i tablic marmuro-

wych. Ale oto sale weselsze, jaśniejsze, zawieszone obrazami. On je zna wszystkie, cieszy się genjalnością prerafaelity, zrzucającego bizantyńskie więzy, i rozkwitem Odrodzenia, i nerwową siłą Baroku, i wdziękiem szkoły francuskiej. Prowadzi żonę do dzieł nowych. Ile już polskich obrazów po świecie!

Ona mówi:

— Kiedy ty to kochasz, i ja to kocham.

Idą ciągle razem, ona oparta o jego ramię, oczyma wpatrzona, sercem wtórująca. I Okszyc czuje ciągle, jak przez wrażenia inne przepływa cichy dreszcz szczęścia między nimi, jak świat się przeistacza od wewnętrznego oświetlenia, które bije z nich obojga.

Patrzą teraz na jeden obraz ogromny szkoły weneckiej, pełen strojnego tłumu i marmurowej architektury. Wszędzie tarasy, połączone tysiącznemi schodami. Wzorzyste kobierce z kwiatów, inkrustowane w kamienne posadzki tarasów; małe fontanny zraszają je cicho. Kobiety noszą suknie jedwabne, klejnoty i strusie pióra; niektóre świecą nagiemi ramionami. Jakiś bal wspaniały pod odkrytem niebem — na marmurach, na kwiatach, na strojach i ramionach leży jasne światło dnia.

— Ale to nie obraz — przecie my w nim jesteśmy, droga moja, — przecie i ty masz balową suknię i nagie twoje ramiona mają wdzięk rzeczy świeżo odkrytych.

Powietrze takie czyste, lekkie, że się je wciąga w płuca, jak szczęście i życie. Szmer, unoszący się

nad tym tłumem, musi być złożony z samych słów miłosnych, śpiewa jak chór skowronków rano, nad polem. Odmłodniałem, wyzdrowiałem, Ukochana! Patrz, jak łatwo wchodzę na schody i pochyłości, jak nic mnie nie męczy, nie przestrasza! Ująwszy się w pół, możemy wzlecieć na ten wyższy taras, nie dotykając ziemi stopami. — O, tak! — Patrz, już tu jesteśmy, już tam. — Jaka to rozkosz wzajemne kochanie! Dlaczego nie wcześniej, dlaczego pierwej Cię nie znałem, moja Jedyna? — Tyś wiedziała przecie, że nikogo, oprócz Ciebie, kochać nie mogłem. I Bóg to wiedział.

Wszyscy ci ludzie, którzy nas mijają, idą parami, mężczyzna z kobietą, i pochyleni ku sobie, szepczą, a z ich dobrych uśmiechów widać, że się rozumieją sercami. Patrz! to sami nowożeńcy! Sami młodzi i szczęśliwi! W oczach chłopców znać dumę i niedopitą rozkosz, oczy dziewczęce patrzą wilgotne, nieśmiałe i ciekawe. Każda para odosabnia się w tej rzeszy, pochłonięta przez swoje szczęście i swoje widziadło świata.

Poznajesz, — wszyscy nasi znajomi, którzy się pobrali temi czasy. Witają nas skinieniem głowy cichem, przyjaznem, bez słów, żeby ani nam, ani sobie nie przerywać uroczystej przechadzki po tym pięknym kraju. — Poznajesz Frania z Halką? Zatrzymali się i patrzą na nas wdzięcznemi oczyma, usuwają się z drogi tak pokornie... Chodźmy ich uściskać. — To nie jest tamta Halka, w której Ciebie chciałem poznać, moja Upragniona, to jest pani Warecka, z domu Marliczówna, dobra kobieta. My ich

tu zostawimy, bo mamy iść dużo wyżej i nie wrócimy już może nigdy do nich, do Bernatowic.

Ale kto Ty jesteś?...

. . . .

Okszyc obudził się z uśmiechem na twarzy, Wolno, bojaźliwie otwierał oczy i poznał wpółmroku swój pokój.

Zerwał się na posłaniu i zawołał głośno:

— Mój Boże! kogo ja widziałem? to Ona była, Ona nareszcie — raz w życiu, choć we śnie, ale przecie za życia...

Przez cały dzień marzył, zamykając oczy, pragnąc jeszcze przywołać nadziemskie wrażenie swego snu. Wieczorem zapisał go do dziennika.

Stanisław Okszyc umarł w Cannes, nie doczekawszy nowego roku. Nie było przy nim nikogo z osób, wspomnianych w niniejszem opowiadaniu. Krążyła wieść, że narzeczeni, wezwani depeszą, przyjechali do Cannes i byli świadkami ostatnich chwil swego dobroczyńcy, ale to jest legenda. Okszyc nikogo nie wzywał, umarł cicho, jak żył, przy skonie jego był tylko lekarz, ksiądz i jeden Polak, niedawny znajomy, kolega suchotnik.

Chyba tylko do łoża śmiertelnego przyszła ta, wyśniona, ubłagana na sen ostatni, Anielica?...

Nic nie stoi na zawadzie małżeństwu Frania z Halką. Pobiorą się wkońcu zimy, bo zechcą zapewne ponosić choć krótką żałobę. A na wiosnę ogród w Bernatowicach znowu zakwitnie życiem.

Samoklęski — listopad 1897.





